



Zeszyty TŁUMACKIE



III kwartał 1996 r.

ISSN: 1426-4129

Nr 3

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Spis treści

O Tłumaczu – wiersz – Karol Mytnik	1
Tłumacki rynek – Danuta Tabińska-Juhasz	1
I Historia Tłumacza	
Tłumacz w zaraniu dziejów	2
II Tłumacz przed I wojną światową	
To już prawie sto lat (wyjątek z książki dotyczący Tłumacza w 1906 r) – Zofia Ordyńska	4
III Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Ulice Tłumacza i jego mieszkańcy (ciąg dalszy) – Lesław Jezowski	7
Kronika – Calendarium miasta i powiatu tłumackiego (ciąg dalszy) – Michał Nikosiewicz	9
Wspomnienia o Tłumaczu – Janina Sokołowska-Kubica	10
Szkic do historii I męskiej drużyny harcerskiej im ks. J. Poniatowskiego (ciąg dalszy) – Michał Nikosiewicz	11
IV Tłumacz w latach 1939-1945	
Nasza uciekinierka (od kwietnia do 26 lipca 1944) – Mirosława Tabińska-Galant	13
V Kościół p. w. św. Anny – Tłumaccy księża	
Ostatni proboszcz Tłumacza (wspomnienia z pobytu w Tłumaczu od X 1942 do VII 1945) – ks. Franciszek Piszczor	15
VI W cieniu białych nocy i czarnych dni	
Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mego życia (ciąg dalszy) – Anna Panachida-Bocheńska	16
VII Tłumacki Holocaust	
Sprawiedliwi – prawi nie Żydzi (The Righteous Gentles) (wyjątki z książki wydanej w Izraelu) – ciąg dalszy – Shloma Blond	17
Cmentarz żydowski – wiersz – Czesława Koczwara-Kaluża	19
VIII Wiadomości z życia tłumaczan	
Kołobrzeg '96 – Rama Lityńska-Króliczek	20
Byliśmy też w Krynicy – Maria Dębiec-Kasperowicz	21
Tłumaczenie piszą	21
IX Odeszli	
Pamięci kolegów, którzy odeszli przedwcześnie – Danuta Tabińska-Juhasz	23
Okładka – Szkoła powszechna w Tłumaczu	

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny
Krystyna Ossowska-Korta, Anna Panachida-Bocheńska, Helena Bilińska

Redakcja techniczna:

Franciszek Borkowski

Adres Redakcji:

Klub Tłumacz TML i KPW. 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33 I p. Skr. poczt. 1042
Wrocław 2. Tel. (071) 44-88-93, fax 44-68-19. Konto bankowe PKO IV O/Wrocław
Nr. 93549-107099-132.

Materialów nie zamawianych redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki Tłumacza. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

O Tłumaczu

*Miasto me rodzinne Tłumacz ukochany
 Miasto moich marzeń i wspomnień młodości
 Wśród zieleni drzew dyskretnie schowany
 Niejeden go podziwiał i czasem zazdrości
 W mieście tym spędziłem swe młodzińcze lata
 Gimnazjum ukończyłem i maturę zdałem
 Wszystko to się dzisiaj w moich myślach splata
 Ile szczęścia radości tam w Tłumaczu miałem
 Dziś miasto to daleko jak na tamtym świecie
 Tylko wspomnień minionych stało się tematem
 Dla nas Tłumaczan i dla naszych dzieci
 Wspomnień lat dawnych przy spotkaniach latem
 Często o tym myślę gdzie te piękne lata
 Gdzie ten staw rozległy – Góra Łokutecka
 I tęsknota z żalem mocno się dziś splata
 Za tym co drogie było od małego dziecka*

Karol Mytnik



Tłumacki rynek

Danuta Tabińska-Juhasz

Było to szczególne miejsce w Tłumaczu. W nr. 2 „Zeszytów Tłumackich” jest opublikowana na okładce stara pocztówka przedstawiająca rynek. Prawdopodobnie jedyna, która zachowała się do naszych czasów. Środowe targi, jakie się na rynku tłumackim odbywały, przydawały miastu szczególnego klimatu i folkloru pokuckiego.

Przedwojenny wygląd targu na rynku w Tłumaczu opisał w swoich wspomnieniach nieżyjący już p. Franciszek Petrus. Oto fragment: „...Rynek przedstawiał się jako wielkie, gwarne rojowisko. Najwięcej wrzawy czynili handlarze owoców zachwalając głośno zalety i ceny jabłek, gruszek i śliwek. Na dużych straganach leżały zwinięte na kształt grubych, białych walców – stopy zwiniętego sukna – litego z którego szyto spodnie. Przy innych straganach skupiały się gromadki dzieci młodszych i starszych wracających ze szkoły. Kupowano zwinięte rulony z barwnej bibułki, w których zwykle były 2-3 cukierki i jakiś sztuczny zegarek, malutka szufelka do cukru, czasem gwizdek. Ale każdy wierzył, że może wygrać prawdziwy zegarek, pistolet, scyzoryk... Przygodny zegarmistrz z miej-

scą naprawiał drobne braki w zegarkach... Straszliwy hałas czynili sprzedawcy gotowanych lub pieczonych kolb młodej kukurydzy. W niedalekiej targowicy odbywał się równocześnie targ bydłem i trzodą chlewną – aż do rynku dochodził gwar ludzkich i zwierzęcych głosów, który zlewał się z wrzawą panującą na rynku w jeden przytłumiony, głuchy odgłos, jak gdyby gdzieś z oddali przeciągających taborów. Widowisku temu dodawały uroku barwne stroje przybyłych tu ludzi. Kobiety miały na głowach barwne chustki o pięknych wzorach oraz zapaski w szerokie pasy, zastępujące fartuszki. Mężczyźni nosili słomiane kapelusze o dużych rondach. Ronda były opasane barwnymi szerokimi wstążkami. Inni znowu nosili piękne czapeczki zupełnie podobne do tych, jakie noszą Czarnogórcy i Serbowie. Jeszcze inni mieli zwykłe czapki wojskowe, jakie nosiła piechota austriacka. Białe sukienne lub płócienne spodnie mężczyzn były przepasane szerokimi, nabijanymi mosiężnymi ozdobnymi pasami, jakie noszą górale i huculi. Wysokie buty były na cienkich stożkowatych obcasach, na kostkach pofaldowane na kształt harmonijki. Po strojach łatwo można było rozpoznać, z której wsi ludzie pochodzą.

Wszystko to robiło wrażenie jakiegoś wschodniego bazaru. Najwięcej ludzi skupiało się dokoła starego ślepca – lirnika, który na swym prymitywnym instrumencie wygrywał piękne, tęskne dumki ukraińskie, co czyniło na słuchaczach tym większe wrażenie, bo lirnik nie tylko grał, ale też i śpiewał...”

Za okupacji tzw. „pierwszych sowietów” wygląd rynku w czasie targów zmienił się znacznie, gdyż polska inteligencja wносиła na sprzedaż swoją garderobę i różne rzeczy z domów. Odbywał się handel wymienny na żywność. Oczekiwaliśmy niecierpliwie każdej środy. W domach padały ofiary prześcieradła, poszwy, rozdzierane na cztery części służyły za chustki na głowę, które nosiły gospodynie pod chustkami kolorowymi. W tym okresie sprzedaż tych rzeczy była jedynym źródłem utrzymania.

W czasie okupacji hitlerowskiej moja mama, znająca język niemiecki, skorzystała z możliwości pracy na poczcie. W czasie środowych targów schodziły się z całej okolicy wiejskie kobiety mające swoich najbliższych – ojców, mężów, braci na tzw. robotach w Niemczech. Miała więc mama mnóstwo pracy przy adresowaniu listów, pisaniu podań do władz w języku niemieckim. Za te czynności dostawała zazwyczaj: jajka, owoce itp. W środy pełniłyśmy z siostrą Lalą dyżury na poczcie, gdyż przyeżazane przez naszą mamusię, umiałyśmy prawidłowo pakować paczki żywnościowe do Niemiec. Były to pierwsze samodzielne nasze zarobki, wypłacane nam w postaci produktów żywnościowych. Pamiętam, że byliśmy z tego bardzo dumne, no i najedzone, co w tych czasach miało niemałe znaczenie.

Ponowne zajęcie Tłumacza przez wojska radzieckie w 1944 r., nie rozwiązało problemu egzystencji polskich mieszkańców miasta. Miejsca pracy w tworzonych radzieckich urzę-

dach zajmowała napływająca gremialnie ludność rosyjska. Dla nas Polaków nie było miejsc pracy. Bardziej przedsiębiorcze panie zajęły się drobnym handlem. Dniem targowym na rynku pozostała zwyczajowo środa. W huculski folklor wmixowały się tłumackie kobiety, handlujące najpotrzebniejszymi artykułami dla wsi. Z powodu braku sklepów można było dostać je aż w Stanisławowie. Były to drożdże, proszki do pieczenia, kamyczki do zapalniczek, sinka dodawana do wapna do bieleńcia, knoty, szkiełka do lamp naftowych itp. Pamiętam nawet przygodę, jaka spotkała naszą koleżankę Krysę, której zgnieśli w tłumie jedyne, wyniesione z domu, szkiełko z lampy. Pieniądze z jego sprzedaży miały być przeznaczone na kupno biletu na pierwszy rosyjski koncert w Tłumaczu.

My obie z siostrą wpadłyśmy na pomysł sprzedawania w upalne lato wody – lemoniady robionej z zapasu kolorowego cukru do lukrów i octu, a gdy tego zabrakło, kolor uzyskiwałyśmy z buraka, a do tego różowego roztworu dodawałyśmy sacharyny i octu. Lemoniada była w butli na wino. Szklaneczki plukaliśmy w wiadrze. Najlepszymi klientami byli „bojcy” z przejeżdżających przez Tłumacz ciężarówek. Rynek tłumacki był też świadkiem przerażającej sceny wojennej. Władze sowieckie powiesiły w zimie 1944 r. dwóch młodych banderowców, którzy przez cały tydzień wisieli na środku tłumackiego

ryнку. Był to straszliwy widok dla wszystkich, sople wisiały z ich twarzy, a po jednej nocy już skradziono im buty. Egzekucja była zemstą za zabicie kogoś z naczalstwa sowieckiego oraz przestrożą dla grasujących wokół Tłumacza banderowców mordujących po wsiach całe rodziny polskie. Wisielcy mieli tabliczki. Do dziś pamiętam – Mandziuk, Krylyk. W tym czasie musiałyśmy przez rynek przechodzić do szkoły, która mieściła się w budynku Urzędu Skarbowego, gdyż szkoła powszechna i gimnazjum w parku już nie istniały, zniszczone działaniami wojennymi. Młodzież była wstrząśnięta widokiem dwóch młodych powieszonych mężczyzn. Nie brakowało jednak głosów, że należało im się to za bestialskie, męczeńskie zabijanie, nieraz własnych sąsiadów – Polaków.

Przyszła wiosna 1945 roku i przyniosła możliwość wyjazdu na Zachód. Wszyscy Polacy szykowali się do wyjazdu robiąc zapasy na długą i niepewną drogę w nieznaną.

Nasza rodzina miała już wszystko prawie wyprzedane. Pozostały jeszcze na ścianach kolorowe kilimy. Pruliśmy je i robiły swetry, chustki, a następnie nasze rękodzieła zamieniały na rynku za produkty żywnościowe na drogę. W ten sposób kilkunastoletnie dziewczynki zdobywały pierwsze szlify handlowe na tłumackim rynku.

Historia Tłumacza

Tłumacz w zaraniu dziejów

Michał Nikosiewicz

Historia Tłumacza i okolic – to prawie historia 100 tysięcy lat... Człowiek na tych terenach występuje w okresie neolitycznym. Występują tu ślady kultury kamiennej, brązowej, żelaznej. Spotyka się kamienne groby skrzynkowe, groby ciał palonych i umieszczanych w urnach. Są osady ceramiki malowanej. Występuje wysoki stopień kultury, rolnictwa, hodowli, mieszkań, wierzeń religijnych.

W XIX i XX wieku rozkopano wiele cmentarzy i kurhanów. Znaleziono siekierki i grotty kamienne, sierp krzemienisty, ozdoby z brązu: pierścionki, zausznice, paciorki szklane, ceramikę zwykłą i ozdobną, kości szkieletów i resztki kości spalonych.

Z I-III wieku epoki rzymskiej znaleziono monety srebrne i miedziane: Augusti Dive Faustina, Filipa Araba, Hadriana, Vespazjana, Antoninów, Trajana, ostrogi rzymskie, sprzączki do pasa, miecze, dzidy, umba do tarcz.

W kilku miejscach w czasie kopania rowów natrafiono na duże kości i zęby mamuta.

Na terenie powiatu znaleziono ślady osad przedhistorycznych, „mogiły”, „horodyszcz”, grodziska, grotty-jaskinie, „święte gaje” z kamiennymi figurami (Trykław, Lelum-Polelum, Diwal-matka ziemi...).

Obecnie w Stanisławowie-Iwano Frankiwsku jest otwarte muzeum archeologiczne wykopalisk z tych terenów. Znajduje się w dawnym ratuszu. Są tam również eksponaty znalezione na terenie obecnego rejonu Tłumacza i okolic.

W „Orędowniku” (tygodnik tłumacki) podano w r. 1931, że magistrat miasta Stanisławowa organizuje wojewódzkie regionalne Muzeum Pokuckie...

W „Kurierze Stanisławowskim” w 1934 r. podano: „Wykopaliska w Tłumaczu: w gminie Bratyszów natrafiono na przedhistoryczne mogiły, tzn. scytyjskie, a więc z okresu 700 lat przed narodzeniem Chrystusa... odgrzebano tam lustra scytyjskie (pierwsze w Polsce tego rodzaju zabytki), złote kolczyki, strzały, korale, naczynia gliniane... Przekopano dotychczas 6 mogił... na czele ekspedycji stoją: prof. UJK Sulimirski Tadeusz (autor książki: „Sarmaci” wyd. w 1979 r.), dyr. Muzeum Pokuckiego w Stanisławowie dr Grabowski...

Kurier Stanisławowski 1934 r.: „szczątki przedpotopowego zwierzęcia” – na polach Łokutki pow. Tłumacz przy robotach ziemnych znaleziono szczątki kości nieznanego zwierzęcia przedpotopowego... dwa odłamy kości... częściowo skamieniałe, zdeponowa-

no w gabinecie przyrodniczym gimnazjum w Tłumaczu.

To tylko dwa z odnotowanych w prasie odkryć...

Zabytki sarmackie z III-IV wieku wskazują na zasiedlenie terenów w okolicach Dniestru i Prutu przez Antów z grupy sarmacko-alańskiej, pochodzenia irańskiego. Pochodzenia irańskiego są nazwy: Worochta, Tłumaczyk, Tłumacz, Żywaczów (T. Sulimirski, Sarmaci, 1979).

W VII wieku nad Dniestrem i Prutem siedzieli Tywercy i Ulicze, a byli, jak podaje „latopis” (ruska kronika), prastarymi osadnikami tej ziemi... ślady są daleko starsze. Herodot podaje, że nad Dniestrem ludy słowiańskie uległy Scytom. Potem były najścia Rzymian, Pieczyngów, Tatarów, Turków. W starożytności Pokucie stanowiło część Dacji Trajana.

Początki miasta Tłumacza, lub raczej osady, sięgają zapewne III wieku. Potem na terenie księstwa kniazia Jarosława Osmomyśla osiedlano w pobliżu szlaków handlowych z Halicza na południe i wschód poddanych księcia, tzw. tłumaczy, którzy pełnili ważną funkcję – zajmowali się sprawami handlowymi dworu książęcego, byli tłumaczami w czasie przeprowadzanych pertraktacji handlowych z przedstawicielami innych państw (Latopis z 1213 r.)

Pod koniec wieku XIV tereny te należały do Węgier. Religia prawosławna ludności Pokucia była prawnie zwalczana przez starostów węgierskich.

W r. 1386 z fundacji Kazimierza Wielkiego (pośmiertnie? +1370) założono w Tłumaczu parafię rzymsko-katolicką.

W r. 1387 królowa Jadwiga odzyskuje Ruś Czerwoną (Halicką).

W 1396 w czasie wojny z Władysławem księciem Opolskim, po zdobyciu zamku Olsztyna, starostę grodowego, jego braci Boruszników i załogę – którzy zdali się na łaskę królewską – król Władysław Jagiełło pochwalił za wierność i męstwo i darował im wszystkie dobra dziedziczne na Rusi w okolicy miasteczka Tłumacza.

O założeniu miasta brak pewnych wiadomości. Przywilej Władysława Jagiełły (prawo magdeburskie?) z r. 1403 mianuje wójtem Tłumacza Guntera Gerstwicza, uposaża go 2 łanami i tyluż łąkami, przeznaczając mu 6 denar z czynszów miejskich, trzeci od kar i spraw zasądzonych, połowę z czynszów od jatek rzeźniczych, szewskich, piekarskich i innych, jako też z łaźni i młynów.

W r. 1438 brat Jagiełły – Swidrygiełło „poszedł” na Wołoszczyznę paść barany” – to jest osiadł na starzych swych Jagiełłowych uposażeniach na Pokuciu w okolicach Tłumacza. Starzec ten 70-letni, kiedy komisarze polscy zjawili się przed nim w Tłumaczu, w dokumencie z dnia 6. 06. 1440 r. przyjął ten kraj koronny.

W r. 1448 właścicielem miasteczka Tłumacza jest Michał z Buczacza.

W XIV wieku Tłumacz należy do powiatu Halicz.

W 1469 r. Tłumacz jest osadą miejską – miastecz-

kiem. W tym samym roku Mikołaj Korytko przedstawia księciu Opolskiemu nadanie na Tłumacz, miasto w Halickim – którego nie posiada. Tegoż roku Piotr Buczacki przedstawia listy królewskie na różne sumy: 200 grzywien na mieście „Tłumacz”, 650 grzywien na wsi Gruszka.

We Lwowie 17 X 1485 r. Kazimierz Jagiellończyk nadał kościołowi rzymsko-katolickiemu w Tłumaczu: dworzysko, ogrody, łąny, staw i dziesięciny i uwolnił dobra kościelne od ciężarów. (Oryginał tego przywileju jest w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie – pergamin).

W wykazie z r. 1469 są ślady wielkorządztwa Rusią za króla Ludwika (Węgierskiego), które sprawował książę Władysław Opolski. Są też ślady zastawów robionych przez Jagiełłę, a najwięcej przez Kazimierza Jagiellończyka przed r. 1469 w Tłumaczu.

W dniach 5-7 XI 1497 r. król Jan Olbracht, chory, wracając z nieudanej wyprawy czarnomorskiej, pod Tłumaczem 60-70 tys. wojsko do domu rozpuścił odjeżdżając do Lwowa.

W latach 1502-1503 Stefan Wołoski – Wielkim zwany, sprawca Olbrachtowej klęski bukowińskiej, zajął Tyśmienicę, Niżniów, Tłumacz – grabił, zabijał, brał w niewolę. Koloman przywołał Tatarów, sam dobrawszy sobie paręset Turków i huzarów z Węgier – pustoszył kresy pokuckie.

Po wyrzuceniu załóg Stefanowych z całego Pokucia, król Aleksander na sejmie 2 III 1504 r. Ziemię Halicką uwolnił od podatków.

W 1511 r. Tłumacz otrzymuje przywilej na jarmark roczny...

W 1521 r. oznaczono granice między Tłumaczem a królewskimi wsiami Gruszki, Jezierzan, Oleszą, Pałahiczami. Tłumacz tworzy razem z tymi wsiami starostwo Niegradowo w Ziemi halickiej, województwa Ruskiego.

W 1578 r. w mieście Tłumaczu jest opodatkowanych 56 domów, 280 głów, w Chocimierzu 105 domów, 525 głów w Tyśmienicy 108 domów, 540 głów

W 1579 r. do Dymideckich należą Dymidycze i 4 wsie, Tłumacz i 3 wsie. Do Tłumacza należały w tym czasie wsie: Olesza, Jezierzany, Bortniki, Gruszka, Dolina, Nadorożna, Horyhlady, Rakowiec o Siemianów.

W 1513 Tyśmienicę spalili Turcy i Tatarzy (zapewne i Tłumacz).

W 1531 r. w chwili najazdu Petryły Wołoskiego na Pokucie do miasteczek zaliczano: Tłumacz, Niżniów, Kutyska, Tyśmienicę, Olszanicę, Okniany...

Skromny zameczek w Niżniowie był już w poprzednich napadach zniszczony. Tym razem z dymem poszły: Tłumacz, Tyśmienica i inne.

W r. 1531, 27 lipca hetman Tarnowski rozdzielił wojsko: Mielecki ze swoją chorągwią ruszył na Kutyska-Niżniów-Olszanicę, Sieniawski na Tłumacz-Tyśmienicę, Słupecki z chorągwią Hetmana na Chocimierz-Kołomyję, a Iskrzycki z chorągwią Macieja Włodka na Żywaczów-Obertyn-Gwoździec. c.d.n.

Tłumacz przed I wojną światową

To już prawie 100 lat

(wyjątek z książki dotyczący Tłumacza z 1906 r.)

Zofia Ordyńska

Akcja pierwszego aktu „Mojego małżeństwa” toczy się w powiatowym miasteczku Tłumacz koło Stanisławowa we wschodniej Galicji, dokąd pan rejent, teraz już mój mąż, przeniósł z Radymina swą siedzibę. Sceneria jakby specjalnie zaprojektowana do jakiejś romantycznej sielanki.

Ponieważ willa, w której mieliśmy zamieszkać, nie była jeszcze wykończona, mąż wynajął na miodowe miesiące malutki, uroczy domek ogrodnika, położony pośrodku olbrzymiego starego parku. Park ten, należący przed laty do bogatego obywatela ziemskiego, zakupiło miasto przy parcelacji majątku i oddało mieszkańcom do użytku. Ale w takim miasteczku jak Tłumacz każdy nieomal obywatel posiadał własny ogródek i w nim urzędował wraz z całą dzieciarnią, więc efektywnie nikt do parku nie zaglądał. Chyba tylko raz do roku przy okazji wielkiego festynu Straży Ogniowej z popisami dętej strażackiej orkiestry i loterią fantową.

Cały park należał zatem tylko do nas, a my czuliśmy się niemal panami tej wspaniałej rezydencji. Domek był malutki, dwa pokoiki, kuchenka i werandka obrośnięta dzikim winem i kwitnącymi na różowo malwami. Był miesiąc maj, najpiękniejszy miesiąc w roku. W parku kwitły czeremchy, bzy i inne krzewy, w cienistych zakamarkach ścieliły się całe grzędy konwalii i fiołków. Oszalałoby powietrze przepojone tymi wonnościami. Stary park rozbrzmiewał świergotem i śpiewem tysięcy ptaków, wieczorem rozpoczynały koncert słowiki.

Podczas gdy mąż zajęty był urzędowaniem, ja nie mając żadnych trosk na głowie, bo całym gospodarstwem zajmowała się gospośnia, spacerowałam w moich powłóczystych szlafroczkach po parku, jak jakaś księżniczka z bajki, lub siadałam w zacisznym zakątku z książką, mając za towarzysza pięknego psa, popielatego pudła Cezara.

Zyliśmy rzeczywiście jak para gołąbków w naszym uroczym gniazdku. Nie składaliśmy nikomu wizyt, co powinniśmy byli uczynić najpóźniej w trzy tygodnie po przyjeździe. Było to wielkim przekroczeniem małomiasteczkowego *savoir-vivre*'u. Mąż jednakże tłumaczył na wszystkie strony, że odkładamy obowiązujące wizyty na jesień, gdy będziemy mieć odpowiednie mieszkanie do odbierania rewizyt.

Rzecz jasna, że mąż jako pan rejent, czyli jak brzmiał oficjalny tytuł C. K. notariusz, a tu we wschodniej Galicji tytułowany powszechnie panem komornikiem, musiał godnie reprezentować swój urząd. Był przecież po panu staroście pierwszą osobistością w hierarchii miasta. Po nim dopiero szli: doktor, adwokaci, komisarze starostwa, naczelnik sądu, aptekarz, burmistrz, następnie sędziowie, weterynarz, naczelnik poczty, a dalej już same plotki, nie wchodzące w rachubę „wyższych sfer”.

Ponad tą całą małomiasteczkową socjetą stał na specjalnym piedestale ksiądz kanonik, z którego opinią bardzo się liczone i któremu z tej racji złożyliśmy zaraz po przyjeździe do Tłumacza oficjalną wizytę. Bowiem ksiądz kanonik, jak przystało na dobrego duszpasterza, musiał wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w jego parafii i o każdej owieczce z osobna. Biada było grzesznikom, którzy nie uczęszczali na nabożeństwa niedzielne, a zwłaszcza dotyczyło to pań, „z towarzystwa”. Toteż suma w niedzielę była cotygodniową rewią pań sędzin, mecenasowych i naczelnikowych, które w towarzystwie swych małżonków, wchodząc przez zakrytą, przychodziły do kościoła i zasiadały w ławkach przed wielkim ołtarzem, podczas gdy panowie ustawiali się z boku. Była to zresztą jedyna okazja do „pokazania się”. W mieście nie było ani kawiarni czy też cukierni, ani jakiejś „promenady”, gdzie by można było zaprezentować nową toaletę, czy też kapeluszy przywiezione z sąsiedniego Stanisławowa.

A tymczasem nadesza jesień i trzeba było opuścić nasz mały domek ogrodnika i piękny stary park, który na pożegnanie wystroił się w pełną gałę purpury i złota. Zamieszkaliśmy w reprezentacyjnej pięciopokojowej willi. Bardzo prędko zrozumiałam, że moja rola księżniczki z bajki była tylko pełnym urokiem epizodem i dopiero teraz mam zagrać właściwą rolę, do której z racji mego zamążpójścia zostałam powołana, rolę Pani Rejentowej vel Komornikowej. Jakoś mi ta rola nie wychodziła. Ani rusz nie mogłam wykrzesać z siebie dostojności i ważności, z jaką obnosiły się tłumackie panie. Hej! Gdybym tak mogła zagrać na scenie taką panią sędzinę czy poczmistrzynię, no to z rozkoszą zrobiłabym z siebie takiego typka, ale w życiu prywatnym, tak na co dzień, nie udawało mi się. Mąż też się nie nadawał do plotkarskiego małomiasteczkowego życia. Mieliśmy na szczęście dużo innych zainteresowań, które nas chroniły przed nudą i jałowością tej prowincji.

O teatrze często myślałam. W pierwszym okresie mego małżeństwa niejednokrotnie w rozmowach z mężem wspominałam role, które grałam, kolegów, różne kawały aktorskie, ale się zorientowałam, że mąż nie lubi tego tematu. Odnosiłam wrażenie, że jest o teatr zazdrosny, wprost chorobliwie zazdrosny o tego rywala, którego przecież położył na obie łopatki. Ale równocześnie rozumiał, że muszę mieć jakąś rekompensatę za zrezygnowanie ze sceny. I znalazł. Muzykę. Dostałam fortepian. Grałam przecież nieźle na fortepianie, ukończyłam średni kurs w Konserwatorium Krakowskim. Mąż też był zapalonym wielbicielem muzyki. Ponieważ wyjeżdżaliśmy często do Lwowa na operę, kupował mi fortepianowe partytury oper, które miałam poznać, celem przygotowania się do lepszego odbioru rozumienia tej dotychczas prawie ob-

cej mi dziedziny sztuki.

Do Lwowa jeździliśmy czasem i dwa razy w miesiącu. Ówczesny Lwów, stolica Galicji, siedziba Namiestnika i Sejmu oraz wszystkich najwyższych władz krajowych, tętnił życiem wielkomięjskim. Kraków w porównaniu ze Lwowem wydawał mi się teraz cichym i spokojnym miastem, siedzibą narodowych pamiątek i uczącej się młodzieży. Lwów z racji Sejmu i Wydziału Krajowego skupiał całą politykę i finansję kraju. Tu zjeżdżali się różni karierowicze i bogaci kupcy tak z kraju, jak i zza granicy, tu się załatwiała rozmaite interesy, szukało poparcia, protekcji, posady. Wspaniałe lwowskie magazyny, zaopatrzone w najwyśmienitsze towary, nie ustępowały europejskim stolicom, liczne lokale rozrywkowe z występami zagranicznych gwiazd, wykwintne restauracje, eleganckie hotele, kawiarnie i cukiernie, a przede wszystkim Teatr. Wspaniały gmach, dopiero przed paru laty, bo w roku 1900 wybudowany, wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia techniczne, z trzykondygnacyjną widownią i olbrzymią sceną, której ozdobę na światową skalę stanowiła wspaniała kurtyna, dzieło sławnego artysty malarza Henryka Siemiradzkiego. Wszystko to stwarzało atmosferę wielkiego miasta, które wraz z awansem na stolicę kraju starało się podnieść również swych obywateli na wielkomięjskie wyżyny.

Na przedstawienia operowe i uroczyste premiery obowiązywały na miejsca w pierwszych rzędach i łóżach stroje wieczorowe. Ponieważ w programie naszych wyjazdów do Lwowa figurowała na pierwszym miejscu opera, musiałam zabierać zawsze dla siebie odpowiednią toaletę, a dla męża smoking. Niezbędnymi akcesoriami w loży teatralnej była bombonierka czekoladek oraz wiązanka kwiatów. Zajeżdżaliśmy zawsze do Hotelu George'a, a gdy byliśmy już ubrani i schodziliśmy do hallu, wygalowany portier wychodził przed bramę i na małej trąbce, podobnej do konduktorskiej, wydawał dwukrotny sygnał. Na to hasło podjeżdżało z pobliskiego placu Mariackiego parokonne lando i zawoziło nas do teatru.

Po teatrze, rzecz jasna, szło się obowiązkowo w towarzystwie przyjaciół na kolację do George'a lub Imperialu. Były to dwa najwytworniejsze lokale we Lwowie, cieszące się z dawien dawna sławą wykwintnej kuchni, tak w kraju, jak i wśród zagranicznych gości, których się tu często widywało. Nawet najprostsza potrawa podawana była częstokroć w atrakcyjnej, godnej podziwu formie. Pewnego razu, będąc na obiedzie w Imperialu, wyczytaliśmy w karcie: „zupa á la Bartosz Głowacki”. Zaciekawienie niezmiernie, jakimi to przysmakami raczył się nasz bohater spod Raclawic, zamówiliśmy tę zupkę. Okazało się, że była to zwyczajna kartoflanka, ale jak nakazywała tradycja, podana nie w porcelanowej wazie, a w zwyczajnych wiejskich glinianych garnuszkach.

Teatr Lwowski, którego dyrekcję sprawował w tym czasie Ludwik Heller, prowadził trzy działy: dramat, operę i operetkę. Trochę tego było za dużo jak na jedną scenę, tym bardziej że działo się to poniekąd z pewną krzywdą dla dramatu, który opera i operetka, cieszące się większą popularnością, usuwały na drugi plan. Niemniej Teatr Lwowski miał w swym zespole wspaniałych aktorów, z których kilku miałam okazję podziwiać na ich gościnnych występach w krakowskim Teatrze. Niestety obecnie rzadko mogłam oglądać tych znakomitych artystów, bo mąż, jak już wspomniałam, starał się usuwać z

pola mych zainteresowań artystycznych wszystko, co miało łączność z mą dawną pracą na scenie.

Nasze częste wypadki do Lwowa były solą w oku pań tłumackich, które uważały, że taki wyjazd jest wystarczający raz około Wielkiej Nocy, zwłaszcza że wszelkie interesy i sprawy można było załatwić, nie ruszając się krokiem z Tłumacza. Był bowiem w mieście taki sobie prosty Żydek w chałacie i z pejsami, imieniem Herszek, który jeździł co tydzień do Lwowa i załatwiał swym klientom najprzeróżniejszego rodzaju sprawy. Zawoził pieniądze i listy, których się nie chciało z pewnych względów wysłać przez pocztę, płacił weksle, kupował różne przysmaki z kawą meinlowską na czele, dobierał jedwabie do haftu, guziki, tasiemki itp. Jednym słowem wygoda była z Herszka nie byle jaka.

Myśmy też często korzystali z tej pantoflowej poczty. Herszek uprawiał to swoje faktorstwo na wesoło, zawsze opowiadał jakieś dowcipy, kawały, tak że ogromnie mi przypominał marszałka weselnego, zwanego marszelikiem, ze sztuki Gabrieli Zapolskiej „Malka Schwarzenkopf”, w której grałam w Teatrze Ludowym w Krakowie tytułową rolę. Sztuka ta w tym czasie cieszyła się dużym powodzeniem. Jest to historia, młodej dziewczyny, pochodzącej z małomiasteczkowej biedoty żydowskiej, którą bierze na wychowanie bogata pani i daje jej wykształcenie na miarę panny z wyższych sfer. Niestety opiekunka umiera nagle, nie zabezpieczywszy swojej wychowawicy, która wraca do dawnego środowiska. Dziewczynę zmuszają do poślubienia chuderlawego, głupawego Żydka i właśnie na tym weselu występuje ów marszelik, którego tak przypomina Herszek.

W okresie mej pracy w Teatrze Ludowym miałam szczęście zagrać Malkę Schwarzenkopf przed jej autorką. Graliśmy tę sztukę na występach w Nowym Sączu, a w tym, czasie Zapolska przebywała w majątku swego męża Janowskiego w pobliżu Sącza. Na zaproszenie dyrektora przyjechała na nasze przedstawienie. Na cześć autorki odbył się po przedstawieniu bankiet, na którym miałam zaszczyt, jako główna postać sztuki, siedzieć kolo pani Gabrieli. Usłyszałam od niej dużo miłych słów, dotyczących się mojej roli, które były dla mnie cenniejsze nad wszelkie inne pochwały.

Wspomnienia ożyły w mej pamięci i sprawił to nie kto inny, jak właśnie Herszek. Zapytałam go więc pewnego razu:

– Czy Herszek nie bywa przypadkiem marszelikiem na żydowskich weselach?

– Uj, czemu nie – odpowiedział skwapliwie Herszek – ja właśnie jestem marszelik na całe miasto.

– No, to pewnie Herszek zna tę piosenkę – powiadam. I zaśpiewałam mu toast, który śpiewa marszelik na weselu przy tradycyjnym rozbijaniu szklanki.

A mazeltopf, a mazeltopf, a husy mit a kale
Lejbe nyszt mit hinderniszt, di gances Lejben ale.

Herszek aż podskoczył z wielkiej emocji. „Uj, pani komornikowa, wielmożna pani komornikowa, skąd pani to umi?”

W odpowiedzi zaśpiewałam Herszkowi jeszcze piękną nastrojową pieśń hebrajską, którą w sztuce śpiewają dzieci z chederu. Wszystko to Herszek doskonale znał i umiał. Nic dziwnego. Zapolska pisząc Malkę Schwarzenkopf przeniosła na scenę oryginalne obrzędy, pieśni i tańce, podpatrzone z życia małomiasteczkowych chasydów.

Od tej pory miałam w Herszku tak oddanego faktora, że gdybym mu polecila kupno podwórzowego brytana, jestem pewna, że ten sprawunek załatwiłby bez wahania, lubo psów bał się panicznie.

Herszek kupował dla nas przede wszystkim tytoń w takich gatunkach, które były do nabycia jedynie w trafikach lwowskich. Ach, cóż to były za delicje te austriackie tytoń! Np. taki pusciczan. Pakowany w blaszanych dość dużych pudełkach, robił wrażenie jakichś anielskich włosów, tak był cieniutko krajany i miał śliczny jasnożółty kolor. Znacznie później, gdy pracowałam w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, nazywaliśmy dyrektora Trzczińskiego „Pusciczanem”, bo nosił złotoblond bródkę, jakby przylepioną właśnie z tego tytoniu.

Fabrycznych, gotowych papierosów nikt nie palił z tej prostej przyczyny, że ich w ogóle nie wyrabiano. Tytoń zawijało się w bibułkę, kręcąc papierosa w palcach, albo nabijało się w gilzy, zwane wówczas tutkami, za pomocą bardzo nieskomplikowanej maszyny. W robieniu papierosów z tych drogocennych tytoni nikt nie potrafił dogodzić memu małżonkowi, tylko ja jedna. Już samo dokładne wymieszanie tych wszystkich pusciczanów, seraliów i jeszcze kilku innych wykwintnych gatunków było istnym ceremoniałem. Ręce musiały być zdezynfekowane niczym ręce chirurga przed operacją. Żeby, broń Boże, nie pachniały jakimś kremem, mydłem czy perfumami, bo cały smak papierosów przepadł.

I pomyśleć, że mi wówczas nawet nie przyszło na myśl, żeby się zaciagać takim wonnym papierosikiem! Kobiety w ogóle nie paliły w owe czasy. A jeżeli znalazła się taka odważna „emancypantka”, to i tak czyniła to w ukryciu. Palenie przez kobietę papierosa w towarzystwie to był szoking niewybaczalny.

Po tych moich wokalnych popisach przed Herszkiem przyszło na mnie pewnego rodzaju opamiętanie. Powiedziałam sobie: „Nie wracaj wspomnieniami do teatru. Przecież rzuciłaś go dla małżeństwa! A pamiętasz, co mówił Zawadzki, że teatr jest jak szklanka? Upuściłaś ją, rozbiła się”. I zwróciłam moje zainteresowania w skrajnie odwrotnym kierunku, ku prozie dnia codziennego. Mimo wszystko, nie bez pewnego niestety, podkładu moich nie wyżytych ciągów artystycznych.

Zacząło się od tego, że moja kucharka, zamaszysta baba z praktyką po wiejskich dworach, powiedziała do mnie: „Bardzo tu smutno na naszym podwórku, ani kury, ani żadnego ptactwa... trzeba to jakoś zagospodarować”. Z miejsca ołsniała mnie wizja takiego „zaludnionego” ptasim drobiem podwórka. Ujrzałam siebie od razu w roli Zosi z Pana Tadeusza, jak „w stroju porannym i z głową odkrytą, stała trzymając w ręku podniesione sito. Do stóp jej biegło ptactwo...”

Zabrałam się z zapalem do organizowania tej podwórkowej sielanki. Nie upłynęło wiele czasu, a podwórko zaroilo się pięknymi okazami drobiu. Kury, indyczki, kaczkę pluskające się w korytku z wodą. Nie brakło nawet kilku pantarek, lecz te dzikuski, wykorzystując swe zdolności do fruwania, stale obsiadywały drzewa w ogrodzie i dachy podwórkowych zabudowań.

W jakiś czas po założeniu tego gospodarstwa otrzymałam od mamy prezent w postaci trójki kur, zakupionych na wystawie drobiu w Krakowie. Były to kury rzadko spotykanej u nas

rasy. Czarne z dużymi białymi czubkami. Kurki miały na głowie jak gdyby zrobione z białej włóczki pompony, a kogut pęk białych rajerów długości do dziesięciu centymetrów, które z fantazją stroszyły się na jego główce. Ponieważ tak się przyjęło, że niektóre moje ulubione kurki nosiły jakieś imiona, więc i tym razem mój wspaniały czarny kogucik otrzymał na cześć ofiarodawczyni, mojej mamy, która miała na imię Franciszka, wielce dostojne imię „Franc”. Nie przypuszczałam nieszczęsna, że imię mojego pięknego kogucika stanie się w przyszłości powodem politycznych konfliktów. Mieszkaliśmy przecież w Galicji, która wchodziła w skład monarchii austriacko-węgierskiej pod rządami „najmiłościwiej nam panującego Franciszka Józefa”, popularnie zwanego Franzem Josephem, co nam wbijano do głowy od pierwszych liter elementarza.

Wzięliśmy właśnie do pomocy kucharce czternastoletnią Marusię, prosto ze wsi, która z całej swojej edukacji wyniosła jedynie pamięć o cesarskim imieniu i stale kojarzyła to imię z imieniem mojego kogucika, nazywając go Franc-Józefem. Nie można jej było tego oduczyć. A tymczasem moje czarnulki okazały się trudne do hodowli. Były bardzo wybredne w jedzeniu i mało odporne na mrozy i śniegi. Najwrażliwszy z tej trójki okazał się Franc i biedaczek zaczął poważnie niedomagać.

Pewnego dnia mieliśmy u siebie gości, wśród których obecny był także starosta, najwyższy dostojnik powiatu, znany ze swych prozajdowych przekonań. W pewnej chwili wpadła zapłakana Marusia z wielkim krzykiem:

– Proszę pani, stało się wielkie nieszczęście!

Zerwałam się przerażona i podbiegłam do dziewczyny.

– Co za nieszczęście? Mów zaraz, co się stało – zapytałam.

– Oj, proszę pani, straszne nieszczęście – wyszlochala Marusia – Franc-Józef zdechł!

Teraz z kolei zerwał się pan starosta, przyskoczył jak rozjuszony lew i potrząsając nią zawołał groźnie:

– Coś ty powiedziała idiotko? Powtórz to jeszcze raz!!!

– Taj mówię, że Franc-Józef zdechł – wyjąkała przestraszona dziewczynka.

– Jak ty śmiesz tak się wyrażać o najjaśniejszym panu – grzmiał w dalszym ciągu starosta. – Czy ty wiesz, czym to pachnie?

Powstało ogólne zamieszanie wśród gości. Pan starosta miotał się w dalszym ciągu jak oszalały, przerażona Marusia rycząc wniebogłose, powtarzała w kółko o zdechłym Franc-Józefie, a ja, zorientowawszy się w sytuacji, starałam się, jak tylko mogłam, wytłumaczyć rozjuszonemu dostojnikowi, na czym polegało to fatalne nieporozumienie. Pan starosta był jednakże nieubłagany.

– Jak pani mogła, jak mogła – skierował teraz w moją stronę swe starościńskie groźby – nazwać marnego koguta imieniem najjaśniejszego pana! To jest obraza majestatu! To grozi kryminałem! Rozumie pani? Ciężkim kryminałem.

I pan starosta z groźną miną opuścił nasze gościnne progi. O Boże! Pomyślałam sobie – a to ładna historia, pani rejentowa w kryminale! Całe szczęście, że na groźbach się skończyło. Opowiadano nam później, że pan starosta rzeczywiście wybrał się do Wiednia, by się poskarżyć, jakich to ma niesfornych obywateli w Tlumaczu. Ale tam uznano, że historia o moim biednym Francu jest świetnym kawałem.

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Ulice Tłumacza i jego mieszkańcy (ciąg dalszy)

ks. Lesław Jeżowski

Za domem Kuprasów stał wcześniej, zbudowany dom, stanowiący własność inżyniera-architekta miejskiego, Hameidesa. Parterowy, z poddaszem-pięterkiem. Do niego przeprowadzili się z kamienicy p. Francowej Filipowie Wolańscy wraz ze swoją córeczką, Lilką. Wolański był sekretarzem starostwa powiatowego. Jego żona, z domu Sokołowska, uczyła w szkole powszechnej.

Na poddaszowym pięterku domu Hameidesa zajmował mieszkanie młody, przystojny urzędnik z PZUW wraz ze swoją żoną. Zapomniałem, jak się nazywał. Gdy zakupił aparat radiowy, jeden z nielicznych wówczas w Tłumaczu, umieszczał go w otwartym oknie pokoju, a cały nadawany program słyszało się na ulicy i w sąsiednich domach. Przeszkadzało to w zajęciach, więc niektórzy domagali się, aby właściciel radia ograniczył jego emisję do swojego mieszkania. Ale te żądania mało skutkowało.

Za Wolańskimi znajdował się drugi dom Hameidesa, zbudowany wcześniej, na początku lat trzydziestych, kiedy to moi rodzice przeprowadzili się ze Stanisławowa do Tłumacza. Dokładnie pamiętam jak powstawał, bo dziwiła mnie jego konstrukcja. Nie posiadał ścian ceglanych lub z dużych bel drewna, lecz tworzyło je błoto nakładane na drewniany stelaż. Nie wiedziałem wówczas o budowlanych właściwościach i możliwościach tłustego czarnoziemu podolskiego. Dom miał normalne piętro, a po otynkowaniu wyglądał jak murowany. Mieszkał w nim wspomniany inż. Haimedes wraz z rodziną. Być może część domu wynajmował lokatorom. Bo to chyba u niego ulokowała się p. Wika Tyrchówna, urzędniczka pocztowa. Widziałam ją udającą się codziennie do miejsca swojej pracy rano i po południu. Żle uczesane włosy wymykały się jej spod kapelusza. Przychodziło mi na myśl jej nazwisko harmonizujące z roztrychаныmi włosami. Na poczcie siedziała za okienkiem kasowym.

Dochodzę do uliczki, która zamykała od strony północnej część Hofu przylegającą do ulicy Słowackiego, gdzie stały wymienione trzy domy. Za uliczką, na rogu jej i Słowackiego posiadał murowany dom z pokojem na poddaszu jakiś Żyd, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci. Był już starszym człowiekiem, jego rude włosy zamieniły się po większej części w siwe. Chyba handlował zbożem lub bydłem. Braliśmy od niego mleko, które po południowym udoju przynosiła nam jego służąca. Gdy wchodziła do naszej kuchni z bańką, zanim przelała mleko do przygotowanego garnka, zawsze przepłukiwała go zimną wodą stojącą w wiadrze. Dziwiła mnie jej czynność, bo przecież garnek był zupełnie czysty. Raz wyjaśniła mi, że

świeże przepłukanie chroni mleko od przypalenia. Nigdy tego nie sprawdziłem.

W domu handlarza wynajmowała mieszkanie p. Domaszewska wraz z dwiema swoimi córkami, Zofią i Jadwigą. Była wdową po oficerze, który zginął na wojnie i dzięki temu otrzymała w Tłumaczu hurtownię tytoniową, która przynosiła jej odpowiedni dochód. O ile się nie mylę, pochodziła z Makowa Podhalańskiego lub jego okolic i była siostrą lub bliską krewną znanego architekta Franciszka Mączyńskiego, twórcy m.in. Kościoła Serca P. Jezusa w Krakowie i kościoła parafialnego w Limanowej. P. Domaszewska, zawsze ładnie ubrana i uczesana budziła we mnie szczerą sympatię, którą mogłem okazać tylko uprzejmymi ukłonami, gdy ją spotykałem na ulicy, lub bardzo grzecznym zachowaniem, przy dokonywaniu zakupów w jej sklepie. Zresztą p. Domaszewska niezbyt często w nim przebywała, wyręczając się swoją współpracownicą. W zimie p. Domaszewska nosiła jasne, bezowe futro, różniące się od ciemnych futer innych pań. Należała do grona kilku tłumaczanek, których miejsce, moim zdaniem, było nie w małym miasteczku, ale w wielkim świecie. Co najmniej we Lwowie.

Starsza córka p. Domaszewskiej, Zofia, wyszła za mąż za Antoniego Tuzinkiewicza, kierującego ojcowskimi elektrownią i młynem. Młodsza, o kalekich nogach na skutek przejścia w dzieciństwie choroby Heinego-Medina, ukończywszy Seminarium przebywała z matką. Obydwie siostry miały jeszcze brata, ale on nie mieszkał w Tłumaczu.

Za narożnym domem naszego dostawcy mleka, w którym mieszkały panie Domaszewskie, za jego ogrodem przylegał do ulicy Słowackiego parterowy budynek, który wydawał mi się nie zamieszkały. Nie widziałem w nim nigdy otwartych dwóch okien, a dwuskrzydłowe drzwi, jakby do jakiegoś byłego sklepiku, pozostawały stale zamknięte.

I znowu poprzeczna uliczka, Rejtana. Wejść do niej. Ale tu już gorzej z moimi wizualno-odtwórczymi możliwościami, bo mieszkając w Tłumaczu, może tylko jeden raz na niej byłem. Zapamiętałem dwa parterowe domy po prawej stronie i żadnych więcej, chociaż wiem, że po obydwu stronach ulicy stało ich kilka. W jednym znajdował się zakład stolarski, w innym mieszkali Leśniakowie, Kaudelkowie, Jaworscy i Kreherowie. Tych ostatnich w ogóle nie pamiętam, a o pozostałych rodzinach mogę jednak coś napisać.

P. Leśniak był urzędnikiem kolejowym. Niektórzy starzy tłumaczenie, pamiętający czasy austriackie, mówili o nim –

bahn mistrz. Nie pracował na miejscu, lecz zdaje się w Pałacach na dworcu, skąd dokonywał służbowych objazdów wyznaczonego mu do kontroli rejonu PKP. W Tłumaczu widywało się go w niedziele w drodze do kościoła.

Natomiast jego żona przemierzała tłumackie ulice kilkakrotnie w ciągu dnia. Bardzo różniła się od swojego męża. On wysoki, normalnej tuszy, ona niska, korpulentna. On trochę łysy, ona z obfitymi blond włosami. Mąż niezbyt rozmowny, za to żona nieograniczenie elokwentna. Lubiała do ciemniejszej spódnicy ubierać białe, wydekolnowane bluzki z trudem obejmujące jej obfity biust. Włosy przykrywała beretem. Stale używała cwikierów. Z naszego mieszkania często widywało się p. Leśniakową idącą do miasta na skrót, przez Hof. Gdy spotkała kogoś znajomego, zatrzymywała się i wciągała go w nie mogącą się skończyć rozmowę. Znano ją dobrze również w gimnazjum, bo podczas przerw odwiedzała swoje dzieci, bądź miała sprawy do załatwienia z ich nauczycielami. Bywały one najczęściej zupełnie błahe.

Pani Leśniakowa potrafiła trafić do każdego w każdym urzędzie, w każdym mieście. Przeważnie w sprawach swoich i swojej rodziny, ale także interweniując na rzecz znajomych, którzy ją o to prosili. Jako żona pracownika PKP korzystała ze znacznej zniżki kolejowej i z bezpłatnych biletów, toteż wyjazdy do Warszawy, Lwowa, nie mówiąc o pobliskim Stanisławowie, nie stanowiły dla niej żadnego problemu. Swoimi akcjami umiała zaradzić w potrzebach gimnazjum i szkoły powszechnej, do której uczęszczała jej córka. Jeżeli nauczyciele uciekali przed p. Leśniakową, jako zbyt wymowną kobietą, to szukali jej jako osoby umiejaczej niejedno załatwić.

Moje spotkania z p. Leśniakową, matką mojego klasowego kolegi, Tadeusza, były dosyć rzadkie i krótkie. Podczas nich okazywała mi wiele sympatii. Najwięcej zyczliwości z jej strony (ale tu muszę wybiec poza rok 1938, który postawiłem jako granicę swoich wspomnień) doznałem po zakończeniu działań wojennych w 1939 r. Wtedy razem z nią i z Tadeuszem Leśniakiem pojechaliśmy pociągiem do Lwowa, już w warunkach sowieckich. Gdyby nie zaradność naszej opiekunki jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy w ogóle dojechalibyśmy na miejsce i powrócili stamtąd. Wracając, trzeba było przenocować w Stanisławowie. P. Leśniakowa zaprowadziła mnie do swojej krewnej mieszkającej w kolejarskiej dzielnicy, Majzle, która gościnnie nas przyjęła.

Specyfikę miast tworzą nie tylko ich architektura, położenie, klimat, ale – rzecz oczywista – również ludzie. I to, moim zdaniem, nie ci zwykli, przeciętnie zachowujący się i wyglądający, ale odmienni od otoczenia. Czasem mówią o nich dziwacy, lub łagodniej – oryginały. Tłumacz posiadał ich kilku, i dobrze, że miał. Do nich, w pewnym sensie, należała p. Leśniakowa.

Ze starszym jej synem, wspomnianym Tadeuszem, przeszedłem przez całe gimnazjum. Od pierwszej klasy do matury. W odróżnieniu od swojej matki nie odznaczał się rozmownością. Był zamknięty w sobie, unikał towarzystwa, z żadnym kolegą nie zaprzyjaźnił się, na szkolnych wycieczkach trzymał się osobno. W nauce, stał się bardzo dobry w języku łacińskim.

Młodszy brat Tadeusza, Zdzisław, wyglądem zewnętrznym i temperamentem nie przypominał swego brata. Ciemnowłosy, dosyć krępej budowy ciała, rzutki, wesoły, rej wodził w swojej klasie. Na przerwach trudno było nie zauważyć go.

Państwo Leśniakowie mieli jeszcze, wspomnianą już, córkę, Irenę, która jako ostatnie dziecko przyszła na świat w tej rodzinie. Białolica, delikatna blondynka uczęszczała do szkoły powszechnej, podczas gdy jej bracia byli już w gimnazjum.

W sąsiedztwie Leśniaków mieszkała p. Jaworska wraz z dwoma synami. Starszy, sędzia w Nowym Targu, do Tłumacza przyjeżdżał z okazji świąt i innych okazji. Młodszy, Stanisław, w 1931 r. chodził do siódmej lub ósmej klasy gimnazjalnej. Przystojny, szczupły brunet podobał się tłumackim pannom, a jego koledzy z początkowych klas uważali, że zostali przyjemnie wyróżnieni, gdy zechciał z nimi porozmawiać. Grał w gimnazjalnej orkiestrze i oprócz tego lubił popisywać się swoją trąbką, siedząc przy otwartym oknie swego mieszkania lub muzykując w ogrodzie. Modne, a w maju maryjne melodie rozchodziły się wtedy szerokim echem i sprawiały radość chcącym ich słuchać.

Ostatni tłumaczanie, jakich pamiętam z ulicy Rejtana, to pp. Kaudelkowie. On, chociaż dopiero w średnim wieku, nigdzie stale nie pracował. O ile się nie mylę, był oficerem WP w stanie spoczynku. Czasem przy marynarce nosił order *Virtuti Militari*. Na ulicach widywało się go porządnie ubranego, niemal zawsze w kapeluszu, nawet w lecie. Był człowiekiem niewierzącym, do kościoła nigdy nie chodził. Podobnych mu pod tym względem tłumaczan nie było. Przynajmniej w tych kręgach, w których obracali się moi rodzice. i ja, i w tej części miasta, którą zamieszkiwaliśmy. Toteż, gdy na Słowackiego zobaczyłem idącego naprzeciw mnie p. Kaudelkę, z zaciekawieniem, chociaż dyskretnie przypatrywałem się mu, chcąc wyczytać z jego twarzy, z sylwetki, z ruchów coś szatańskiego, demonicznego, a przynajmniej jakieś znamię ujemne wyróżniające go od ludzi wierzących. P. Kaudelka na mnie, małego chłopca nie zwracał żadnej uwagi.

Nie przypominam sobie, abym kiedyś widział go w czymś towarzystwie poza swoją żoną, efektowną, zadbaną panią. Coś mi się płacze po głowie, że uczyła w szkole powszechnej. Być jednak może, że się mylę. Pewnego dnia, w początkach lat trzydziestych Tłumaczem wstrząsnęła wieść, że Kaudelka odebrał sobie życie. Komentarze na ten temat brzmiały rozmaicie. Nie brakło suponujących złe pożycie małżeńskie.

Trzeba mi zawrócić do ulicy Słowackiego, bo Rejtana, którą opuszczam, nigdy nie przemierzyłem do jej końca, nigdy nie doszedłem do licznych parterowych domków, które dosyć chaotycznie rozmieszczone stały już poza tą uliczką. Wiem, że w jednym z nich mieszkali Agopsowiczowie. Ojciec miał sklep wędliniarski przy ulicy Piłsudskiego, starszy syn urzędował na poczcie, drugi Kajetan-Kaju, chodził do gimnazjum o rok niżej ode mnie. Obydwaj odznaczeni się, po ojcu, trochę orientalną, ormiańską urodą.

c.d.n.

Kronika – Calendarium miasta i powiatu tłumackiego (ciąg dalszy)

Michał Nikosiewicz

Rok 1925

„Informator Powszechny R. P. w Kalendarzu PP.” podaje, że w pow. tłumackim było obywateli wyzn. rz. kat.: 24.500, gr. kat. 73.500, mojż. 6.800. Ponad 2 tys. mieszkało w Chocimierzu, Tyśmienicy, Otyunii, Niżniowie, Czarnołóżce, Gruszka, Horyhlady, Lackie szlacheckie, Olesza, Pałahicze, Petryłów, Podpieczary, Uhorniki.

Starostą w Tł. był Zygmunt Sulima Popiel, referentem w starostwie: Tadeusz Dulęba, Wincenty Skalka, Ignacy Łoszińców.

Komendantem PP, komisarz Michał Kozakiewicz, zast. Franciszek Białkowski. Posterunki Pol. Państwowej są w: Tłumaczu, Tyśmienicy, Otyunii, Niżniowie, Chocimierzu, Hostowie, Lackiem Szlacheckim, Oknianach, Oleszy, Otyunii, Rożniowie.

Wydział Powiatowy: prezes Piotr Szczepański, zast. Wł. Kłodnicki, Adam Rylski, Włodzimierz Jałowicki, Zdzisław Ładomirski, Edmund Deyczakowski, Józef Kruszelnicki, ks. Porfiry Stupnicki, inż. Antoni Holander, Aleksander Woroszczuk, Franciszek Tuzinkiewicz, Michał Szuszkiewicz.

Inspektorem Samorządu Gminnego: Adam Kotowski.

Oficerem ewidenc. Pow. Komendy Uzup. (Buczacz): Antoni Frantz.

Urząd skarbowy, nacz. Kajetan Nikosiewicz, Cyryl Wysockański.

Kasa skarbową: Józef Rachwał, Michał Sahajdak,

Urząd ewid. katastr. pow. tł. podatku grunt. Jan Gabański,

Nadzór kontroli skarb.: Mikołaj Nikosiewicz, Antoni Królicki.

Sąd pow.: nacz. Wł. Kłodnicki, sędziowie: Michał Nisterowicz, Michał Burczycki, Władysław Szajna, Notariusz: Jan Czechowicz.

Parafie łac. są w Tłumaczu, Tyśmienicy, Otyunii, Niżniowie, Chocimierzu, Jezierzanach, Bohorodyczynie, Markowcach, Oknianach, Tarnawicy Polnej (10). Parafii gr. kat. jest w pow. 44.

Gmin wyznaniowych – mojż.: Tłumacz, Tyśmienica, Niżniów, Otyunia, Chocimierz. Inspektorem szkolnym w pow. tł. Kasper Moleczanowski, szkół podst.: 90. Poczta i telegr.: Tłumacz, Tyśmienica, Otyunia, Niżniów, Chocimierz. Agencje poczt.: Markowce, Strychańce, Olesza, św. Józef.

W Tłumaczu ludności: 5917.

W magistracie: komisarz rządowy Karol Sokolowski, zast. Leopold Semel. Sekretarz: Franciszek Burkiewicz. Rada przyboczna: Jakub Leib Fisch, Jan Hirak, Józef Kruszelnicki, Franciszek Pawłowski, Władysław Piotrowicz, dr. Józef Salat, Marian Szankowski, Jakub Seidman, ks. Porfiry Stupnicki, ks. Edward Tabaczkowski, Franciszek Tuzinkiewicz.

Spożycie napojów alkoholowych na głowę ludności w litrach 100%: pow. tłumacki w 1924: 0,05 – 1925: 0,08

(1925 r.) Stanisław Jan Kanty Mondrala mianowany dyr. gimnazjum państw. Do gimnazjum został przydzielony dr Bazyli Pastuszczyn i ks. dr Mikołaj Witkowski, który został również dyrektorem Pryw. Seminarium Naucz. Żeńskiego, (ks. Podczerwiński przeniesiony został do Rawy Ruskiej).

Dnia 21. IX w sali Sokola odbył się Sejmik Pow. Organizacji Narodowej w Tłumaczu. Przedtem został wybrany Edmund Deyczakowski.

Organizacji „Ligi Niezapominajki” podjęła się staroscina Bronisława Popielowa.

1. X. Święto Pol. Państwowej – 10 rocznica powstania Polskiej Służby Bezpieczeństwa. Nabożeństwo, defilada, wieczorem Akademia w sali Sokola: „Historia Policji” odczyt prof. M. Mierzwińskiego, odegrano sztukę Moliera „Lekarz mimo woli” (grali Borkowski, Inwalski, Lipiński, Nowak, Zubrzycki, Rotter, Macek, panie Misińska, Inwalska, Suwarska).

W Tyśmienicy przygotowuje się uroczysty obchód ku uczczeniu 100 rocznicy śmierci Wieszcza Ziemi Tłumackiej Franciszka Karpińskiego.

Kongregacja Sióstr Służebniczek N.M.P. w Czarnołóżcach, w Tłumaczu – prowadzą sierociniec: Lucja i Henryka Wiśniewskie, Adolfina Pawłowska, Genowefa Chodorowska, Emilia Onesówna.

Siostry Służebniczki prowadzą domy opieki w Tyśmienicy, Uhornikach. Siostry Józefitki prowadzą ambulatorium dla biednych w Bratyszowie i Niżniowie, S. Franciszkańki prowadzą szkoły w Dolawie, Puźnikach, Przenicznikach.

Wydawano drukiem tzw. „Schematyczny obrz. gr. kat.” dla terenów pow. tłumackiego obejmują miasteczka i wsie dziekanatów Tłumacz, Tyśmienica, Ujście Zielone, Jezupol, Stanisławów, Żuków. Przy każdej parafii są podawane daty zbudowania cerkwi (Hostów 1778, kolegiata Wasyla Wielkiego Jezierzany – 300 lat, Lackie szlacheckie – 1700, Pohonia – 1736, Kamienna – 170, Podpieczary – 1672, Niżniów-cerkiew św. Mikołaja – 1775. W innych parafiach cerkwie były budowane z drzewa od 1800-1924 i w czasie I wojny światowej przeważnie były spalane. W XIX w. kilka cerkwi było murowanych (Tłumacz, Tyśmienica-św. Onufrego, Miłowanie). W Tyśmienicy były 3 cerkwie, w Niżniowie dwie. Kolatorami-patronami parafii byli przeważnie właściciele majątków ziemskich tych wiosek. Ale były parafie, których kolatorami byli właściciele majątków – Żydzi: Gruszka, Dolina, Skopówka, Targowica, Kamienna. Kolatorami była też administracja sądowa: Krzywotuly st., Hostów lub parafie łac.: Delawa-Koropiec, Skopówka-Otyunia, Strychańce-Otyunia.

Proboszczami obrz. gr. kat. byli księża żonaci, wdowcy i bezzenni, często o polskich nazwiskach: Palicki, Czechowski, Majkowski, Jaworski. W każdej wsi jest szkoła 1-3 klasowa z jęz. wykładowym ruskim. Są bractwa cerkiewne, sklepy cerkiewne, kasy pożyczkowe brackie-cerkiewne, czytelnie na probostwach, „Proświta”, biblioteki parafialne, kooperatywy „Sil-

skij Gospodar”, „Zlika” i inne. Kasy Reifhausena. W Petrylowie: Ukraiński Teatr Narodowy „Krużok”, w Petrylowie: spichlerz gromadzki.

W Olszanicy jest pomnik wystawiony na pamiątkę zniszczenia pańszczyzny, podobnie w Tłumaczu koło kamienicy tzw. Orłowskiego.

Parafie gr. kat. są często bardzo zasobne – mają tzw. „dotacje” do 200 morgów pola ornego, do 80 m. łąk, lasu, ogrody...

Po zakończeniu tzw. „wojny pol.-ukr.” 1918-1919 społeczeństwo ukraińskie postanowiło się organizować od podstaw gospodarczo, rozbudowało szkolnictwo, oświatę (czytelnie-biblioteki), organizuje kooperatywy, sklepy cerkiewne, kasy pożyczkowe. Więcej młodzieży ukraińskiej kończy szkoły średnie i uniwersytety i wracają do pracy na wsi jako nauczyciele, lekarze, adwokaci, kierownicy kooperatyw, czytelnicy... Motorem tych działań jest kler gr. kat., zwłaszcza od czasu objęcia rządów metropolią przez arch. Szeptyckiego. Już nie są przyjmowani do seminariów obrz. gr. kat. Polacy, co było dość częste w XIX w.. o czym świadczą choćby nazwiska księży obrz. gr. kat. w pow. tłumackim.

W starostwie tl.: Tadeusz Duleba przeniesiony do Kosowa, Jan Tabęcki do Tłumacza.

1. II jednorazowa zapomoga dla bezrobotnych pracowników umysłowych wynosi 45 zł, z rodziną 65-100 zł.

W „Sprawozd. Dyr. Gimn. w Tłumaczu za r. 1924/25” jest wiele wiadomości, które warto przytoczyć: „... jest orkiestra dęta 45 uczniów – prowadzi naucz. Jan Misiecki, chór męski i mieszany prowadzi Kazimierz Piotrowski, naucz. Czesław Ruszczycki prowadzi orkiestrę symfoniczną 17 uczniów. Biblioteka uczniowska powiększona do 1400 vol. (prof. Mierzwiński) jest gabinet fizykalny, przyrodniczy, geograficzny, archeologiczny. Samopomoc uczniów jest już od czterech lat – prowadzi wypożyczalnię książek dla biednych uczniów (580 książek), kramik szkolny ma osobne pomieszczenie koło budynku gimn., harcerska drużyna męska (44 uczniów) odegrała sztukę „Na słonecznej drodze”, „Noc Betlejemska – Jasełka”, „św. Mikołaja”, w drużynie harcerskiej jest wzajemna pomoc w nauce, klub sportowy, „HKS”, drużyna prowadzi gromadę „Wileząt”.

Gimnazjum zakupiło dla uczniów sprzęt sportowy: łyżwy, narty, piłki, rakiety tenisowe... Hufiec szkolny Przysp. Wojsk. liczy 48 uczniów. Są dwie Bursy – jest tam 43 uczniów (8 bezpłatnie), jest w gimnazjum Kółko filologiczne, założono bibliotekę filologiczną.

Uczniów jest 254 (45 tzw. prywatystów)

w sprawozdaniu jęz. polski podało 202, j. ruski 45, żydowski 7. Uczniów wyzn. rz. kat. jest 133, gr. kat. 47, mojż. 63, orm. 8, ewang. 3.

c.d.n.

Wspomnienia o Tłumaczu

(przeczytane na zjeździe w Mostowie dnia 20 września 1987 roku)

Janina Sokołowska-Kubica

Urodziłam się w Stanisławowie, ale najpiękniejsze lata mojego dzieciństwa i młodości przeżyłam w miasteczku powiatowym Tłumaczu. Tu urodził się, wychował i uczył się do szkół mój ojciec Władysław Sokołowski ur. 29 VI 1897 r. Mieszkał on razem z rodzicami we wsi Nadorożna, odległej o 6 km od Tłumacza. Rodzice oddali ojca do bursy tłumackiej, ponieważ droga do szkoły była bardzo uciążliwa. Błota, roztopy, zawieje i zaspasy śnieżne były w tym okresie nie do pokonania. Zimą grasowały jeszcze wilki i podchodziły pod same zagrody gospodarskie. Ojciec opowiadał, że bursę polubił i czuł się w niej jak we własnym domu. Był zdolnym uczniem i dobrym matematykiem, przez parę lat udzielał korepetycji słabszym w nauce kolegom. Stale powracał do wspomnień z lat szkolnych, jak również do tamtych pięknych okolic. W końcu przenieśliśmy się do Tłumacza w rodzinne strony mego ojca, jego dziadów i pradziadów. Pokochałam to miasteczko z całego serca. Tłumacz był otoczony wokół pięknymi pagórkami i wzgórzami – cudownie zalesionymi. Na zboczach były pola i łąki, które z dala wyglądały jak dywany kosowskie w różnych odcieniach brązu, zieleni, żółci, czerwieni i czerni. Lubiałam wieczorami spoglądać z otwartego okna (mieszkałam przy ul. Słowackiego u p. Szurów) na te pagórki, które z daleka wyglądały bajecznie. Na tych zboczach widać było błyszczące światelka z domków i chat. Wyglądały one niczym świetliki w ciemnym borze.

Jako młoda dziewczyna będąc w szkole podstawowej poznałam te tereny wraz z rówieśnikami na czele Pani Marii Nikosiewicz, która uczyła nas geografii i przyrody. To Ona nauczyła nas, jak mamy kochać naszą ziemię ojczystą – kochaną Polskę. Pani Maria Nikosiewicz pokazywała nam piękno tych pagórków i dolin, piękne łąki z soczystymi zielonymi łąkami, przyozdobione polnymi kwiatami. Strumyczki i potoczki, wokół których wiosną kwitły delikatne przebiśniegi, przylaszczki, kaczeńce i cudownie pachnące konwalie. Wśród tego piękna nieraz z drużynową Tosią Czoharanką maszerowałyśmy tymi ścieżkami i śpiewałyśmy nasze harcerskie piosenki. Powracając do domu przynosiłyśmy naszym mamom całe naręcz polnych kwiatów.

W środku miasta był park, a na jego terenie nasze gimnazjum koedukacyjne, do którego ja uczyłam się. Nie zapomnę, kiedy na dźwięk dzwonka wszyscy wybiegaliśmy z budynku szkolnego do parku na przerwę. Spacerowaliśmy alejkami i także wokół ogromnego gazonu, albo siadaliśmy na ławeczkach po parę osób przygotowując się do następnej lekcji. Tam właśnie zawierały się przyjaźnie koleżeńskie, które dotrwały do dzisiaj, jak również pierwsze sympatie i nawet pierwsze „zielone” miłości. Mieliśmy również naszą gimnazjalną orkiestrę, która rozweselała nas i umilała nasze szkolne życie. W każdą niedzielę i święta państwowe – grała marsze, gdy maszerowaliśmy czwórkami – środkiem ulicy 3-go Maja do pobliskiego

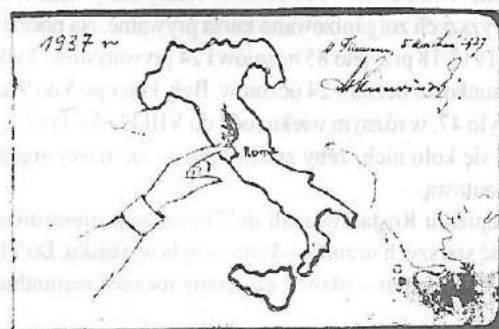
kościola św. Anny. Na czele szedł profesor Misiecki – nauczyciel muzyki i śpiewu.

Najpiękniejszy był u nas miesiąc maj. Otóż każdego poranka o godzinie szóstej rano, nasi koledzy szkolni: Edwin Misiecki, Marian Śliwiński, Józek Czohara, Zbyszek Jarosławski, Issakiewicz z Tuzinkiewiczem grali na trąbkach wszystkie Maryjne pieśni na wieży kościelnej. Zaczynali zawsze od pieśni: „Po górach, dolinach rozlega się głos..... Ave, Ave, Ave Maryja...” itd. Całe miasto budziło się ze snu. Ludzie otwierali okna a wraz ze świeżym powietrzem wpadały do mieszkań te piękne melodie. One leciały dolinami nad pagórkami i w górę aż pod niebiosa, aż do białych obłoków i stamtąd dalej hen w Polskę. Czy to nie było cudowne? Czy takie chwile są do zapamiętania? Nie, nigdy!

Wspominając o gimnazjum nie mogę ominąć naszego profesora Mariana Mierzwińskiego – mego wychowawcę, który, według mnie, był bardzo pamiętliwy. A było to tak: któregoś dnia podczas przerwy znalazłam w parku pod ławką stary sennik egipski. Radości było „co nie lada”. Wszystkie koleżanki chciały go pożyczyć, chociaż na jeden dzień i przepisać, ale nie dałam, bo bałam się, ażeby nie przepadł. Postanowiłam, że wszystkim będę sama odczytywała znaczenie snów. Zawsze na pierwszej lekcji zamiast uważać odpisywałam na lotne karteczki, które rzucali koledzy i koleżanki z każdego końca sali. Przez jakiś czas udawało się, ale wszystko do czasu – wpadłam. Profesor Mierzwiński miał sokole oczy i zawsze wszystko widział. Już na pewno miał tego dość i zawołał głośno: „Sokołowska do tablicy!” Tak byłam zdenerwowana i zastraszona, że w ogóle nie wiedziałam o co mnie pyta i o co chodzi, Stałam jak zamurowana. Zdenerwowany Profesor zapytał: „a czy chociaż wiesz, przez jaką stolicę przepływa rzeka Tybr?” Milczałam, tylko mocniej ścisiskałam w dłoni liściki. Bałam się, że Profesor każe mi je oddać, albo podejździe do mojej ławki i zamiast podręcznika szkolnego – zobaczy sennik. Dostałam dwójkę, a ojciec mój ten incydent miał przekazany z detalami. Od tego czasu sennika do szkoły nie przynosiłam. Zdawałoby się, że wszystko poszło w zapomnienie. Minęły trzy lata. Ojciec mój przeniósł się z powrotem do Stanisławowa. Żegnając się z koleżankami, kolegami i naszymi profesorami, prosiłam wszystkich o wpisanie się do pamiętnika. Wpisał się również prof. Mierzwiński. Oddając mi pamiętnik powiedział: „Wszystko z cza-

sem zapomnisz, uleci ci z głowy, ale jaka rzeka przepływa przez Rzym – to zapamiętasz do śmierci”. Zdenerwowana, głośno powiedziałam: „Rzym!” Rozbroiłam tym profesora, bo uśmiechnął się i otworzył mój pamiętnik. Na białej kartce narysowany był duży but, a palec wskazujący leżał na rzece Tybr, która przecinała duże czerwone kółko – nad nim napis „Rzym”. Ta rzeka śniła mi się wiel razy!!! Na dobre zakodowała się w moich szarych komórkach.*

Najbardziej koleżeńskim był w tamtych czasach szkolnych Julek Hauser, syn naszego profesora od języka niemieckiego. Dzięki Julkowi nikt nie otrzymał dwójki z języka niemieckiego przez pół roku. A było to tak: jeszcze w pierwszej klasie gimnazjalnej Julek podpatrzył ojca, jak odnotowuje w notesie uczniów, których będzie pytał i który odcinek tłumaczenia z czytanki da do tłumaczenia. Przed lekcją języka niemieckiego Julek to tłumaczenie pisał na szafie i każdy wywołany do odpowiedzi mógł, umiejętnie stojąc w pobliżu szafy, od czasu do czasu zerknąć i pomóc sobie w tłumaczeniu. Udawało się do pewnego czasu. Jeden kolega, zupełnie nie przygotowany do lekcji, wywołany przez profesora stanął z książką i zamiast tłumaczyć z niej, wlepił gąły w szafę i czytał. Profesor Hauser wstał zza biurka, wolnym krokiem podszedł do nieszczęsnej szafy i zobaczył na niej całe tłumaczenie bezbłędnie wypisane. Zdenerwowany krzychał „i znów ze mnie robicie durnia!” Zrozumiałe, że nikt nie przyznał się, a profesor nie poznał pisma swego syna. Na półrocze wykazał prawie pół klasy z języka niemieckiego. Rodzice musieli płacić dodatkowo „czesne” po 50 zł.



* Kartka w pamiętniku przetrwała Sybir, cały trakt, całą wojnę w plecaku.

Szkice do historii I męskiej drużyny harcerskiej im. ks. Józefa Poniatowskiego (ciąg dalszy)

Michał Nikosiewicz

Tłumacz pod koniec sierpnia 1914 r. zajęły wojska rosyjskie. Ewakuacja ludności nie była całkowita, ale wyjechali urzędnicy państwowi, nauczyciele, kupcy. Gimnazjum przestało istnieć. Drużyna skautowa również. Prof. J. Leśniak, drużynowy drużyny skautów w Tłumaczu został zmobilizowany. Pozostali członkowie „Sokoła”, którzy opiekowali się drużyną: W. Walewski, M. Molisak, J. Hrapkowicz podlegali ewakuacji i w czasie wojny znaleźli się w Czechach. Skauci, przeważnie ci starsi, zostali już w następnym roku powołani do służby wojskowej.

W czasie I inwazji wojsk rosyjskich w Tłumaczu gimnazjum było nieczynne. Część młodzieży wyjechała z rodzicami, którzy byli ewakuowani w głąb Austro-Węgier. Pozostała młodzież w Tłumaczu nie miała zajęć szkolnych. Nauczyciele gimnazjalni opuścili miasto, wojsko zajęło budynek szkolny na koszary. Prawdopodobnie drużyna skautowa została rozproszona. Brak jakiegokolwiek działalności, chociaż zapewne kilku skautów zostało w Tłumaczu, w czasie I inwazji rosyjskiej. Po odparciu Rosjan w r. 1915 wróciły władze do Tłumacza, gimnazjum

liczyło wówczas klas sześć, liczba uczniów spadła do 173 (w 1914 r. było 263) – jak podano w Spraw. Dyr. Gimn. za rok szkolny 1917/18. Z grona młodzieży gimnazjalnej, która odbywała służbę wojskową, w 1915 r. zginęło dwóch uczniów: Michał Lachowicz i Alojzy Nunberg. Czy należeli przed wojną do drużyny nie dało się ustalić. W r. 1915 drużyna skautów w gimnazjum znowu organizuje się. Dowodem na to jest notatka w „Skauście” wychodzącym we Lwowie, w nr. 9 z dn. 3 V 1916 r. „Tu na tym miejscu przeznaczam I tłumackiej drużynie im. Ks. J. Poniatowskiego odznaczenie-order „Złotego Biskopata”. Ta bowiem drużyna, złożona z trzydziestu skautów przysłała do Komendy zawiadomienie, że istnieje i poddaje się pod rozkazy...”. Kto zajął się organizacją drużyny, kto został drużynowym – nie wiemy. Ostatni drużynowy był w wojsku (prof. J. Leśniak), możliwe, że drużyną zajął się prof. Feliks Czerwiński, który jak wynika z notatek w „Skauście” w 1916 r. „krzątał się” około założenia drużyny w Tlumaczu. A stało się tak dlatego, że w 1916 r. nastąpiła II inwazja rosyjska. Znowu ewakuacja, zamknięcie gimnazjum, które dopiero w 1917 otwarto. W 1916 r. na 173 uczniów gimnazjum było 30 skautów, to chyba dużo, jeżeli się weźmie pod uwagę, że wszyscy starsi uczniowie byli w wojsku. Nie było też w Tlumaczu nauczycieli (Sokołów), którzy brali udział w organizowaniu drużyny w 1912 r. Molisak i Hrapkowiec byli ewakuowani wraz z ludnością z Tlumacza do Chocenia (Czechy) i tam prowadzili szkołę „Ludową”. Powrócili do Tlumacza po wojnie. W czasie II inwazji rosyjskiej drużyna w Tlumaczu przestała istnieć, podobnie jak gimnazjum. Miasto było bardzo wyniszczone i wyludnione. Ludność rozproszyła się i zmalała do 1/3 pierwotnej liczby. Bardzo ucierpiało gimnazjum – budynek i urządzenia, biblioteka, zbiory, brak było nawet ławek i tablic. Dnia 19 XI 1917 otwarto cztery klasy niższe, dla czterech klas wyższych zorganizowano kursa prywatne. Na początku roku szkolnego 1917/18 przyjęto 85 uczniów i 24 prywatystów. Tylko I klasa była stosunkowo liczna – 24 uczniów. Były klasy po 5 do 9 uczniów. Polaków było 47, w różnym wieku (od I do VIII klasy). Prof. Czerwiński krzątał się koło nich, żeby znowu, już po raz trzeci organizować drużynę skautową.

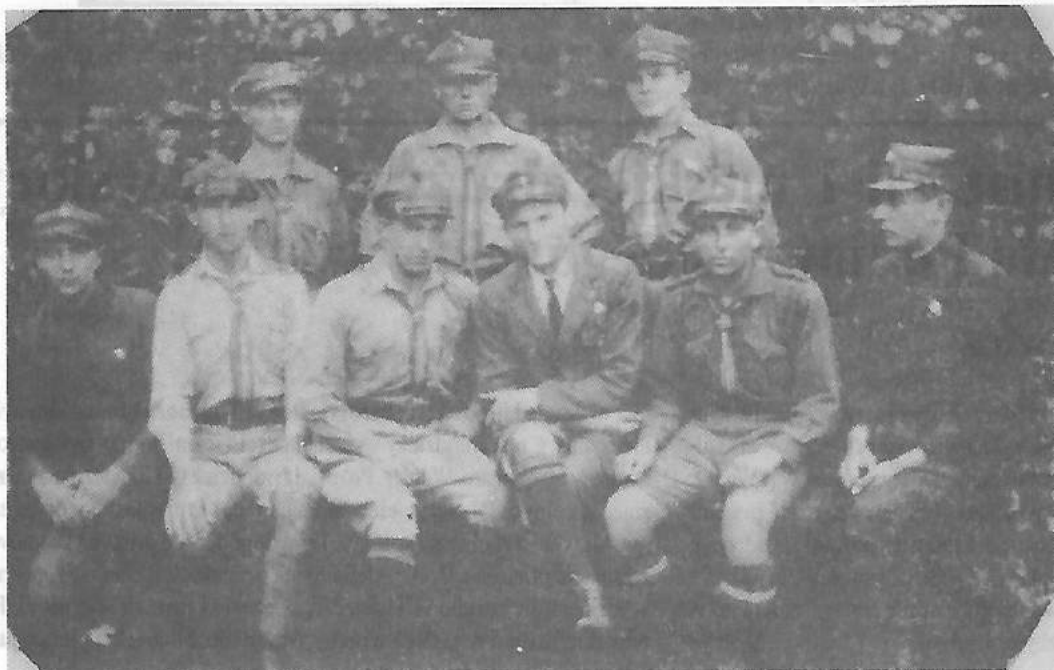
Po ustąpieniu Rosjan wracali do Tlumacza profesorowie i młodzież. Część starszych uczniów-skautów była w wojsku. Do Tlumacza przyjeżdżali na krótko – zdawać egzaminy roczne i maturalne. Pozo-

stali brali udział w organizowaniu drużyny. Brak jakiegokolwiek dokumentacji o działalności drużyny w pierwszym roku po II inwazji rosyjskiej. Budynek, w którym mieściło się gimnazjum został zdewastowany, jak również całe wyposażenie, które było uratowane, częściowo, po I inwazji rosyjskiej. Drużyna skautowa jest organizowana. Kto był drużynowym nie wiemy. Są wzmianki pośrednie (Wspomn. dyr. St. Mendrali, W. Nekrasz „Harcerze w bojach 1914/21”), jakoby drużynowym był wtedy uczeń gimnazjum Marian Dolais.

Przeczy temu list siostry M. Dolaisa, Joanny – z dnia 10 VII 1978 r. – w którym pisze, że M. Dolais wrócił do Tlumacza w lipcu 1918 r. We Lwowie brał udział w obronie tego miasta przed Ukraińcami i tam zginął 17 XI 1918 r.

Po jego żołnierskiej śmierci – prof. gimn. Zitzman namalował Jego portret na tle sztandaru z Orlem Białym, a w kościele w Tlumaczu umieszczono tablicę ku Jego pamięci.

Zachowało się kilka zdjęć fot. z roku szkolnego 1917/18 uczniów gimn. w Tlumaczu. Brak wśród nich mundurków skautowych – kapełuszki. Mundurki są gimnazjalne, ale są też ubranka cywilne, zwłaszcza u młodszych uczniów. Nakrycia głowy „oprócz baniaczek”, to maciejówki, kaszkiety, czapki niby wojskowe. Wyraźnie widać wpływ trwającej już od trzech lat wojny. Na jednym ze zdjęć jest prof. Leśniak w mundurze austriackiego oficera „przy orderach” i prof. Marian Mierzwiński w mundurze strzeleckim, w maciejówce. Są na tych zdjęciach i skauci-uczniowie, rozmaicie ubrani, ale nie tworzą jednolitej grupy: Jan Wąsowicz, Władysław Wencel, St. Łomnicki, Adam Gawęda, Józef Jaworski i inni. Zdjęcia nie wskazują na to, że jest już w gimnazjum zorganizowana drużyna. Możliwe, że we wrześniu 1918 r. organizacja drużyny w gimnazjum zaczęła przybierać realne kształty. Dnia 1 XI 1918 r. nastąpił koniec I wojny, a w Tlumaczu zaczęła się tzw. „okupacja ukraińska”. Do końca pierwszego półroczia szkolnego nauka w gimnazjum była „normalna”. W lutym 1919 r. gimnazjum stało się „ukraińskie”. Zapisali się Ukraińcy i Żydzi. Polacy, uczniowie i profesorowie, nie wstąpili do tego gimnazjum. Profesorowie-Polacy zorganizowali kursy prywatne grupami dla uczniów-Polaków. To trwało do zajęcia Tlumacza przez wojsko polskie – tj. IV-V 1919 r. Na pewno od 1 XI 1918 r. do 5 V 1919 r. drużyna skautowa nie przejawiała żadnej działalności. c.d.n.



Stoją do lewej: 1. Agopsowicz Zachariasz, 2. Młynik Karol, 3. Rolewicz Marian
Siedzą od lewej: 1. Kasperski Marian, 2. Mańkowski Władysław, 3. Domasiewicz Tadeusz, 4. Dąca Roman, 5. Śmiechowski Adam, 6. Jan

Tłumacz w latach 1939-1945

„Nasza uciekinierka” (od kwietnia do 26 lipca 1944 roku)

Mirosława Tabińska-Galant

Gdy z końcem marca 1944 r. wojska sowieckie ponownie wkroczyły do Tłumacza Niemcy walczyli zajadłe chcąc odzyskać stracone pozycje pod Stanisławowem, między innymi nasz nieszczęsny Tłumacz. Odgłosy zbliżającego się frontu znowu zaczęły przybierać na sile.

Żołnierze rosyjscy zwrócili się z apelem do tutejszej ludności, aby opuszczali swoje domy i uciekali przed frontem. Twierdzili, że tu będą się toczyły zacięte walki, których ludność cywilna nie przetrzyma. Nie wszyscy jednak zdecydowali się na ten krok, wiadomo było, że w okolicznych wioskach czują banderowcy. Ksiądz grek-kat. Jaworski, u którego mieszkaliśmy, zgodził się, aby babcia nasza została u nich. W obszernej kuchni w kącie uszykowałyśmy jej łóżko. Wszyscy nalegali abyśmy z matką uciekały przed frontem. Decyzja była trudna, nie do opisanja.

Żołnierze radzieccy ponowili swój apel, a huk armat przynaglił do ucieczki. Każda z nas miała spakowany nieduży tobolek w poszewce od jaśka, w którym obok zdjęć i pamiątek babcia spakowała nam ostatnie kromki chleba. Pożegnania było bardzo smutne, nie myślałyśmy, że się zobaczymy jeszcze.

Plan był taki, aby dojść do Obertyna – miasteczka oddalonego o 26 km od Tłumacza. Proboszczem był tam kuzyn mojej mamy Franciszek Fijałkowski. Postanowiłyśmy dotrzeć do plebanii i tam przeczekać tę straszną nawałnicę. Wczesnym rankiem wyruszyłyśmy z domu. Pierwszą miejscowością do której dotarłyśmy była Jackówka usytuowana na wznesieniu poza miastem. Tabor wojskowy zajęły drogi. Na front jechały czołgi, armaty, katusze. Trzeba było unikać tych dróg, gdyż były one bombardowane przez Niemców. Sowieckie armaty przeciwlotnicze nie były im dłużne, tylko dzielnie ostrzeliwały nękające je samoloty. Po grząskim polu trzymając się krzaków posuwałyśmy się naprzód krok za krokiem, często padając na ziemię, gdyż samoloty „pikowały” i siekły karabinem maszynowym. Kiedy dotarłyśmy do Jackówki, straszny widok utwierdził nas w słuszności o decyzji ucieczki. Nad leżący w dolinie Tłumacz nadciągała eskadra samolotów. Widać było dokładnie jak grad bomb leci na nasze miasto.

Straszną noc spędziłyśmy w jakimś wiejskim domu, w którym udzielono nam gościny poznając panią z poczty (nasza matka pracowała w czasie okupacji niemieckiej na poczcie). Utrudzone zasnęłyśmy z siostrą, matka czuwała bojąc się nocnej napaści banderowców.

Front zbliżał się, trzeba było uciekać dalej. Do Obertyna droga prowadziła przez wieś Gruszkę, największe siedlisko banderowców. Zdecydowaliśmy się jednak iść dalej. Noc zaskoczyła nas w środku wsi, a sił zabrakło. Wtedy stał się cud. Kobiety wiejskie poznały naszą matkę, która czytała i pisała

im listy do synów, wysyłała tytoń i pakowała paczki, pisała podania po niemiecku o wcześniejsze zwolnienie ich mężów. Zostałyśmy zaproszone i ugoszczone w jakimś wiejskim domu, a banderowcy, którzy tylko czekali na taką okazję podobno ubłagani zostali przez wiejskie kobiety, żeby zostawić nas przy życiu.

Obertyn, cel naszej wędrówki okazał się wyjątkowo niedanym pomysłem. Kiedy zjawiliśmy się na plebanii pociski artyleryjskie właśnie gęsto padały wokół.

Po serdecznym przywitaniu z ks. Fijałkowskim i jego siostrą nie było czasu na odpoczynek, czy poczęstunek, ksiądz zdecydował, że naprzód należy przeczekać tę kanonadę w okopach, które były za plebanią. Wszyscy ruszyliśmy chyłkiem do ogrodu, a stamtąd do wykopanych przez żołnierzy rowów. Grad pocisków wzmagal się z każdą godziną. O powrocie do plebanii nie mogło być mowy. Chyłkiem przedostaliśmy się do następnej linii okopów, a stamtąd dalej. Znowu wędrówka przez zaorane pola, a pod wieczór stanęliśmy wszyscy przed murami klasztoru w Gwoźdźcu.

Pierwsza połowa kwietnia była przychylna dla uchodźców. Słońce świeciło. Było zielono i kwitły drzewa. Na dziedzińcu klasztornym rozlokowali się ludzie, którzy opuścili swoje domy podobnie jak my, uciekając przed frontem i banderowcami.

Za murami trudno o miejsce, na którym można by było spocząć. Zakonnik w bramie długo tłumaczył nam, że klasztor jest przepelniony, naturalnie nie mógł odmówić księdzu gościny. Nagle matka przypomniała sobie, że teść jej przez jakiś czas był w zakonie i nie mając już większej nadziei wspomiała jego nazwisko i nadmieniła, że jest synową, a córki jej to wnuczki Jana Tabińskiego. Wtedy dopiero otworzyły się nie tylko drzwi, ale i ramiona zakonnika. Długo nas ścisnął i przyglądał się wnuczkom swego przyjaciela. Było to dla nas bardzo korzystne, dostaliśmy mały pokój, możliwość umycia się, posilenia oraz odpoczynku. Tydzień spędzony w klasztorze w Gwoźdźcu jest wspomnieniem kojarzącym się przede wszystkim z wiosną. Pięknie kwitnące sady klasztorne, pierwsza delikatna zieleń i mnóstwo pachnących fiołków. Nigdy już potem wiosna nie przedstawiła nam siebie w takiej uroczyszczacie. Spotkaliśmy kilku znajomych, starszego od nas kolegę Jurka Roztropowicza i jego siostrę Halinę. Ojciec ich został zamordowany w bestialski sposób przez banderowców. Jurek po wcieleniu do Armii Kościuszkowskiej zasłynął w Bieszczadach ze swych odważnych czynów i zemsty na sprawcach. Pamiętam spacer po sadzie, zbieranie fiołków i rozmowy o przyszłości, czy uda się przeżyć do końca zniechędzonej wojny, jak ułoży się dalsze życie. Starsi uradzili, że musimy dotrzeć do Czerniowiec. Wszyscy mówili o ostatnim pociągu, który ma przejeżdżać koło klasztoru, zatrzymać się i zabrać chętnych w daleką drogę.

Spora gromadka ludzi czekała na torach w umówionym miejscu. Nadjechał pociąg towarowy, zatrzymał się koło nas, nie było czasu zastanawiać się nad wagonami, które wprawiły nas w zdumienie. Były to otwarte lory pełne jęczmienia. Problem wsiadania do nich rozwiązali w mig panowie. Należało się wspinać po ich pochyłych plecach, a z góry następny wyciągał już ręce. Jęczmień momentalnie dostawał się we wszystkie możliwe miejsca, niemilosiernie drażniąc skórę. Przytuliliśmy się do matki, wszystkie trzy zanurzone w tym ziarnie i szczęśliwe, że dostałyśmy się z takim wysiłkiem do środka. Pociąg ruszył pomału w kierunku Horodenki, gdzie należało się przesiąść na pociąg do Rumunii. Zbliżając się do Horodenki nie trudno było zauważyć, że właśnie tam w oddali odbywa się bombardowanie. Samoloty wkrótce zawróciły i zaczęły opuszczać się nisko nad naszym pociągiem. Wtedy dopiero zabaczyłyśmy, że oprócz kilku wagonów z jęczmieniem dalszy skład pociągu to platformy przewożące armaty i wojsko. Pociąg stanął w szczerym polu, ludzie w panice zaczęli skakać i uciekać w pole. Na górze słychać było znajomy warkot karabinów maszynowych. Nie pamiętam już, jak wydostałyśmy się na zewnątrz. Pierwsza skoczyła siostra, Danusia, i wyciągając ręce ściągnęła nas z góry. Dopadłyśmy pobliskich krzaków, które w takich sytuacjach były jedyną osłoną przed okiem niemieckiego pilota. Na szczęście samoloty niemieckie zrzuciły wszystko na małą Horodenkę i najprawdopodobniej zabrakło im bomb i amunicji.

Pociąg przejmującym gwizdem dawał znaki, że należy wracać do wagonów, gdyż zaraz odjeżdża. Spod krzaków wynurzyła się znowu garstka ludzi i biegiem podążyła do swoich lor z jęczmieniem. Teraz już dostawanie się do środka odbywało się sprawniej. Zanim dotarłyśmy na miejsce sytuacja taka powtarzała się kilkakrotnie. Następny warkot samolotów był o tyle groźniejszy, że wszyscy spodziewali się, że to już powrót po uzupełnieniu amunicji.

Na szczęście zawsze kończyło się warkotem karabinów maszynowych i raczej wskazywało na to, że nękanie pociągu było dobrą zabawą dla niemieckich pilotów. Tak dojechałyśmy do stacji Horodenka.

Pociąg, który miał nas dowieźć do Czerniowiec był przeładowany uciekającymi ludźmi. Zdobyłyśmy miejsce w wagonie pocztowym. W rogu wagonu obudowanym szafkami stał stół na żelaznej nóżce, a wokół ławeczki. Tam usiadłyśmy. Zmęczona położyłam się pod stołem okręcając się wokół żelaznej nóżki, której trzymałam się kurczowo. Jechałyśmy zostawiając za sobą piekło frontu, który cichł w miarę oddalającego się pociągu. Głód dokuczał. Matka wydawała nam, cudem ocalałe kawałki chleba, jeszcze z klasztoru w Gwoźdźcu. Należało je oczyścić z jęczmienia i jego ostrych kłosów.

Leżąc pod stołem słuchałam, jak w szafce przetaczają się z miejsca na miejsce jakieś kamienie. Odgłos ten był dokuczliwy i prosiłam, aby otworzyć szafkę i zobaczyć, co tam tak hałasuje.

Po otwarciu szafki oczom naszym ukazał się przerażający widok. Były to granaty.

Pociąg zatrzymał się w polu. Powodem nie były samoloty, front był daleko, to tylko maszynista żądał od ludzi daniny kosztowności, bo inaczej nie pojedzie dalej.

Do Czerniowiec było daleko. Ludzie przerażeni dawali co

mogli. Niestety po kilkakrotnych takich zabiegach, kiedy maszynista doszedł do wniosku, że już nic z nas nie wyciągnie, po prostu zostawił pociąg w jakiejś wiosce kilka kilometrów od Czerniowiec i odszedł w stronę dal. Uroczyste rumuńskie wioski były niegościnnie. Pobyt nasz w Rumunii był spokojny. Nie było nękających samolotów ani odgłosu armat, nikt nie obawiał się banderowców. Wiosna przystroiliła okolicę w odświętne zielone szaty. Na ich tle starannie wybielone rumuńskie zagrody wyglądały malowniczo i przytulnie.

Niestety głód dokuczał wszystkim nieustannie. Nie pomogły prośby księży na ambonie w pobliskim kościółku. Chaty rumuńskie były zamknięte dla uchodźców, nikt nie przyszedł nam z pomocą. Znaleźliśmy pracę, wybieranie kartofli z dołu. Pracowałyśmy w cztery (była z nami ciocia, siostra księdza) cały dzień, wieczorem otrzymaliśmy za to wiadro kartofli, które upieczone przy ognisku bardzo nam smakowały. Naza jutrz znowu podjęłyśmy podobną pracę i tak minął tydzień.

Raz wybrałyśmy się z siostrą na wieś i upatrzyłyśmy chatę, w której najwidoczniej coś gotowano, bo z komina wydobywał się dym. Poprosiłyśmy o jedzenie, dostałyśmy od starszej gospodyni trochę gotowanego mleka, nie mogłyśmy zanieść go mamie, nie chciała pożyczyć garnuszka.

Dalszy pobyt był niemożliwy. Ksiądz powiadomił nas, że daleko na torach kolejowych jest rozsypana fasola. Wszyscy wyruszyli ją zbierać.

Uzbieraną fasolę ugotowano, każdy dostał garść tego przysmaku i wyruszyliśmy w drogę na poszukiwanie żywności. Okazało się, że jesteśmy dwadzieścia kilka kilometrów od Śniatyna, po całodziennej wędrówce dotarłyśmy do granicy polskiej. Polacy okazali się bardziej gościnni. Każdy upatrywał sobie jakiś domek, gdzie został nakarmiony. Pod wieczór wkroczyliśmy do Śniatyna. Małe miasteczko nie tknięte wojną, w którym toczyło się normalne życie. Uciekinierzy z Kut (miejscowość, w której szczególnie grasowali banderowcy) wypełnili ulice miasta. Ludzie siedzieli na chodnikach i opowiadali mrozące krew w żyłach historie o bestialskich mordach popełnianych przez banderowców na ludności polskiej i ormiańskiej. Był pierwszy maja, miasto udekorowane czerwonymi flagami, dużo rosyjskiego wojska. Dzień świąteczny. Wojsko otrzymywało wódkę, toteż na ich twarzach jaśniał wesoly uśmiešek i chęć zawierania znajomości z młodymi kobietami. Na plebanii przyjęto jedynie księży, o nas nie było mowy, była przepełniona. Miejscowi ludzie tworzyli komitety pomocy dla uchodźców i starali się rozlokować ich po opustoszałych domach żydowskich. Zaprowadzono nas do takiego domu. Szyby były powybijane, drzwi nie miały żadnego zamknięcia, a na podłodze tylko garstka piór i szkła. W oknie ukazała się wesola twarz żołnierza. Matka chwyciła nas za ręce i prędko wybiegła na ulicę. Tam usiadłyśmy wśród ludzi, na krawężniku i patrzyłyśmy przed siebie w oczekiwaniu na jakiś cud.

Cud się zdarzył, podeszła do nas pani Bielecka i z miłym uśmiechem zaprosiła do swego domu, cztery osoby.

Mieszkałyśmy tam przez cały maj, starałyśmy się pomagać jej w gospodarstwie. Karmiła nas i utrzymywała zupełnie bezinteresownie. Młodzież miasta Śniatyna przyjęła mnie z siostrą do swego grona. Pożyczali nam buty, bo byłyśmy prawie bose. Co wieczór chodziłyśmy na majówki, nabożeństwa te szczególnie uroczyste odprawiane były w pięknym koście-

le. Oltarze tonęły w kwiatkach, a litania do Matki Boskiej, jedyna nasza obrona przed bombardowaniem, teraz odmawiana była w intencji ocalenia naszej babci pozostawionej w domu, na linii frontu. Po niesporach w gronie bardzo miłych młodych ludzi odprowadzano się nawzajem, a nawet zawiązywały się sympatie. Tam właśnie poznałyśmy Tadzia Romanowicza, Rysia Koryzmę, siostry Andrusiewicz, innych nazwisk nie pamiętam. Z chłopcami tymi spotkałyśmy się na Ziemiach Odzyskanych po wojnie. Byli to dobrze wychowani gimnazjaliści, z dobrych domów kulturalni chłopcy, po nabożeństwie wieczornym, prowadzili rozmowy nieśmiało, a w chłopięcych oczach tliło się wiele jeszcze nie spełnionych marzeń.

Pamiętam również jak prowadzono ich na front. Nieduży oddział maszerował w cywilnych ubraniach z tłumoczkami wypchany przez rodziców.

Odprowadzałyśmy ich z koleżankami. Siostra moja zawiesiła na szyi Tadziewi Romanowiczowi czerwony koralik w kształcie serca, który miał służyć jako talizman i uchronić od śmierci. Koralik ten przechowywany skrzętnie w czasie frontu zobaczyliśmy po wojnie w Brzegu, gdzie spotkałyśmy się przypadkowo.

Na razie walki trwały. Wiedzieliśmy już, że nasze miasto Tłumacz zajęli ponownie Niemcy. O powrocie nie było mowy.

Pani Bielecka odczuwała coraz większy ciężar utrzymania czterech osób. Otrzymywane z plebanii jajka siostra moja Danusia sprzedawała na rynku, a zarobione pieniądze oddawałyśmy na utrzymanie p. Bieleckiej. Było to jednak za mało. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, aż Matka nasza otrzymała posadę kucharki w czeskiej jednostce stacjonującej w pobliskiej wsi Stycowa niedaleko Sniatynia. Oficerowie czescy zakwaterowani w wiejskiej chacie poszukiwali kucharki.

Wymogom ich nie sprostaly wiejkie kobiety, których umiejętności kulinarne byly zbyt ograniczone. Skorzystalyśmy skwapliwie z tej propozycji, zamieszkalysmy w Stycowie w wiejskiej chacie, gdzie oddano nam duze drewniane loze, wyslane swiezą sloomą i zaścielone weretą (prześcieradło robione z lnu). tam spalysmy we trójkę przez cały miesiac. Jedzenia teraz bylo pod dostatkiem. Okazalo się, że w pobliżu mieszkają ludzie z naszego transportu, blakali się rowniez bezdomni i wyglodniali Żydzi. Magazyn żywnościowy oficerów czeskich szybko pustoszał, banieczki z zupą, margaryną i chleb wynosilyśmy z siostrą w pole, gdzie czekali wyglodniali ludzie, potrzebujący takiej pomocy. W połowie lipca droga, przy której mieszkaliśmy jechala furmanka wyładowana po brzegi, a na niej dwie dobrze znane nam osoby. Dziadek trzymal lejce, znajome konie kroczyly pewnie, na furmance siedziala babcia. Byli to rodzice naszego ojca, dziadkowie Tabińscy z Żywaczowa.

Radość z tego spotkania byla wielka, w mgnieniu oka zapadła decyzja powrotu z nimi do domu.

Podróż nasza trwala przez kilka dni, niektóre wioski byly puste, zaduch rozkladajacych się ciał zmuszal do zatykania nosa. Po drodze jechaly rowniez ciężarówky wiozace żołnierzy. Wiadomo bylo, że front znowu cofnal się za Stanisławów, a nasze tereny zajela ponownie Armia Czerwona.

Po przyjeździe do Żywaczowa dziadkowie weszli do swego ocalonego, ale pustego domu. My zaś skorzystalyśmy z rosyjskiej ciężarówky wiozacej żołnierzy przez Tłumacz. W dniu 26 lipca 1944 roku wjechaliśmy do wypalonego miasta. Z bijącym sercem dotarłyśmy do naszego domu, gdzie Babcia, cala i zdrowa otworzyła nam drzwi. Przed domem byl olbrzymi lej od bomby, ściany lekko zarysowane, w oknach nie bylo szyb. Radość zapanowala wielka, że wszystkie żyjemy.

Kościół p.w. św. Anny – tłumaccy księza

Ostatni proboszcz Tłumacza

Wspomnienia z pobytu w Tłumaczu od października 1942 do lipca 1945 r.

ks. Franciszek Piszczor

Kiedy w końcu września 1942 r. proboszcz z Tłumacza ks. kanonik Edward Tabaczkowski został aresztowany przez gestapo za wystawianie fikcyjnych metryk dla Żydów, dekretem Kurii Metropolitalnej we Lwowie z dnia 17 X 1942 r. zostałem przeniesiony z Mariampola na tymczasowego administratora parafii Tłumacz. Ks. E. Tabaczkowski zmarł w więzieniu w Stanisławowie 20 X 1942 r. o godz. 19.00 Data śmierci była wpisana do brewiarza ks. Kanonika, który ktoś podrzucił w tajemnicy do konfesjonału, w którym zwykle spowiadałem.

W Tłumaczu zastałem ks. Jana Terleckiego pełniącego obowiązki wikarego i ks. Stanisława Kuchtę, byłego katechetę, który w okresie wojny osiadł w tym mieście. W grudniu tego roku na miejsce ks. Terleckiego przybył wyświęcony jesienią ks. Edward Kopeć. Młody kapłan od razu pozyskał sympatię parafian, a moja współpraca z nim układała się przez cały czas jej trwania bardzo dobrze.

Do parafii tłumackiej należały wioski: Palahicze, Popielów, Słobódka, Lokutki, Jackówka, Pilawszczyzna, Koliniec, Hryniowce, Czarnołoże, Nadrożna. Największy procent Polaków był w Hryniowcach i w Nadrożnej.

Podczas okupacji niemieckiej uczyliśmy dzieci religii. W Tłumaczu kierownikiem szkoły powszechnej był p. Hrapkowicz, a w Jackówce p. Gawędzianka.

Z chwilą mego przyjazdu do Tłumacza nie było już w mieście ludności żydowskiej. Nieco wcześniej getto uległo likwidacji. Niemcy dokonywali aresztowań wśród Polaków.

Na przedwiośniu 1944 r. zaczęły docierać do Tłumacza coraz częściej wiadomości o morderstwach dokonywanych na ludności polskiej przez ukraińską nacjonalistyczną partyzantkę tzw. banderowców. Na terenie parafii Tłumacz pierwszego wielkiego mordu dokonano 17 III 1944 r. w Nadrożnej. Jeszcze może dwa tygodnie

wcześniej, będąc z nabożeństwem w tamtejszej kaplicy, pytałem miejscowych parafian, czy nie boją się Ukraińców. Odpowiedzieli mi, że dobrze z nimi żyją. Aż tu 17 III 1944 r. wieczorem banderowcy pod pozorem, że są milicją i z polecenia władz niemieckich mają przeprowadzić rewizję w poszukiwaniu broni, we szli do domów, kazali się mężczyznom położyć na podłodze i zastrzelili ich. Innych wywoływali z domów po imieniu, i zabijali w obejściu. W Nadorożnej było ok. 40 rodzin. Zginęło wówczas 35 mężczyzn, w tym nawet kilkunastoletni chłopcy. Niektórych pomordowanych grzebano na miejscu w ogrodach, a około 25 zamordowanych przewieziono do Tłumacza, gdzie postaraliśmy się o trumny i odbył się wspólny pogrzeb. Był to najsmutniejszy dzień w okresie mego pobytu w Tłumaczu.

Nazwiska pomordowanych:

De Morela Azarkiewicz Józef ur. 1897 i Stanisław 1890

Chmielewski Michał 1892, Rudolf 1925, Stanisław 1882

Dolzański Władysław 1888

Kawecki Józef 1911, Stanisław 1891

Kładziński Franciszek 1889, Władysław 1903

Pławuszewski Stefan 1907, Tadeusz 1928

Rudkowski Michał 1883

Samborski Kazimierz 1911

Sumulski Mikołaj 1875, Michał 1908, Stanisław 1891, Mikołaj 1907

Zagórski Jan 1905, Michał 1896, Edward 1929 i inni.

Wszystkich nie pamiętam.

W Pałahiczach i Jackówce banderowcy jednej nocy zebrali w stodołę Polaków, którzy nie uciekli do miasta, powiązali ich drutem kolczastym i stodołę podpaliłi. Również w Jackówce, jak i w Hryniowcach, w dzień uprowadzano rodziny Polaków do lasu i słuch po nich zaginał.

Z końcem marca 1944 r. przybyły do Tłumacza oddziały węgierskie, cofające się razem z Niemcami pod naporem Rosjan. Węgrzy odnosili się do Polaków bardzo przyjaźnie. Gdy 30 marca¹ wybrałem się rano na pogrzeb jednego parafianina z Piławszczyzny, który został zamordowany przez Ukraińców, niespodziewanie zobaczyłem ruch na ulicach. Wojska węgierskie i niemieckie uciekały w kierunku Pałahicz, a od Horodenki zabiły się czolgi sowieckie, które szybko posuwały się gościńcem do Tłumacza ostrzeliwując drogę do miasta. W Tłumaczu został wówczas zabity parafianin Piotrowicz i ciężko ranna odłamkiem w nogę nauczycielka p. Dublewiczowa, która później wskutek tęcza zmarła. Na wozie zaopatrywałem ją na śmierć. Zginęło wówczas kilku żołnierzy węgierskich.

Po południu poszedłem do kościoła, by w spokoju odmówić brewiarz. Nagle usłyszałem huk samolotów i koło kościoła spadły trzy bomby. Od podmuchu wyleciały okna i otworzyły się drzwi. Mur kościelny w niektórych miejscach popękał. Poszedłem do ołtarza i spożyłem Najświętszy Sakrament, by nie dopuścić do profanacji. Później udałem się na plebanię. Tam przyszedł rosyjski oficer i mówi, że tu ukrywają się Niemcy. Wraz z jednym żołnierzem obeszedli ze mną wszystkie pomieszczenia. W kancelarii stała kasa ogniotrwała, w której przechowywałem kilka flaszek wina mszalnego. Rosjanie chcieli mi je zabrać, ale uprosiłem, by zostawili, tłumacząc, że to konieczne do służby Bożej. W zamian dałem im wino porzeczkowe.

cdn.

1. Według Tadeusza Klonowskiego wkroczenie wojsk sowieckich do Tłumacza miało miejsce 27 maja 1944, a nie, jak podano, 30 III. W tym dniu ks. Fr. Piszczór prowadził na przelaj przez pole pogrzeb zamordowanego przez banderowców Michała Klonowskiego.

W cieniu białych nocy i czarnych dni

Najjaśniejsze i najciemniejsze chwile mego życia

(ciąg dalszy)

Anna Panachida-Bocheńska

Starszej siostrze natura nie poskąpiła urody. Ciocia często powtarza, Zosiu wydaj za mąż Józję, a będzie ci łatwiej żyć. Mama była wielką patriotką, w odpowiedzi Ciocia usłyszała, dobrze, że Twoje dzieci są małe, bo szybko byś je sprzedała.

Brat wciąż dostarczał komyszu (trzcina rosnąca na jeziorach / na plecach, do gotowania i wyścielania klepiska w ziemiance.)

Śniegi były głębokie, a żeby utrzymać się na powierzchni przypinał deski, to pozwalało mu na bezpieczne koszenie. Pomagał mu w tym cioci syn, Józek Burczyński.

Wiosną Matki zdecydowały się na powrót do Batmianówki. Trzeba było koniecznie kupić ziemiankę od miejscowej ludności, gdyż nikt nie chciał przyjąć dziesięcioosobową rodzinę pod swój dach. Własna ziemianka dawała nam pewne oszczędności. Mieszkając u miejscowych, trzeba było ciągle płacić, lub wykonywać różne czynności w nieskończoność.

To nie było łatwe, skoro musiało się pracować na żywność, a żeby nie dać się śmierci głodowej. Matki nasze pracowały od świtu do nocy. Plewiły ziemniaki u miejscowych gospodarzy, tam dostawały wyżywienie oraz zapłatę w postaci jednego wiadra ziemniaków i 1 litr mleka. Ja z siostrą wyszywałam chusteczki na głowę lub prześcieradła. Pamiętam, jak któregoś dnia Mama zagniotła placki (razowa mąka, woda i sól) tak zwane "korzy", a brat siedział przy bardzo małym piecu, pilnował gotującej się zupy i piekł właśnie te korzy. Po upieczeniu układał je na gzyms pieca. Ja z Cesią cichutko podkradłyśmy jeden placek i w kąciku chciałyśmy się podzielić. Brat był nieubłagany. Kazał nam natychmiast oddać i zagroził, że nie dostaniemy. Jak trudno jest oddawać to, co można zjeść, jak się jest głodnym. Następną czynnością był podział. Uważał, że on z Matką wkłada najwięcej trudu w utrzymanie rodziny, więc dla tego muszą mieć więcej siły w zdobywaniu żywności. So-

bie brał 7 placków, Matce dawał 6, Józsi 5, mnie 4, a najmłodsza siostra dostawała 3. Siostra Cesia zalewała się łzami, a Matka pocieszała ją i oddawała jej część swojego przydziału.

Po wojnie brat pisząc do nas z Brazylii, przeproszał Cesię, podkreślając, że ona jako dziecko, musiała bardzo cierpieć w tych trudnych czasach.

Nagle przyszła wiadomość, że ktoś się o nas upomniał! - To gen. Władysław Sikorski, zaczyna przecierać ciernistą drogę do Moskwy. Niemcy napadają na Związek Radziecki. Amnestia obejmuje wszystkich Polaków. Z dalekiej Północy idą nasi chłopcy i rodziny Legionistów. To za mało powiedziane idą. Idą, jadą, płyną barkami, nędzni, wygłodzeni, z odmrożonymi kończynami, zawszawieni, bez środków do życia, spod -50°C pod +50°C, a śmierć zbiera ogromne żniwa.

Młodzież nasza, która w tym czasie zabrana była na budowę drogi kolejowej, powraca. W naszym posiołku są już łagiernicy.

Jest Piotruś Dowgun z Lidy, jego kolega niedoli Janek z Krakowa, pan Białkowski oraz jego brat.

My o ojcu nie mamy żadnej wiadomości. Dotarła do nas polska gazeta wydawana w Kujbyszewie. Pani Maria Braulowa, nauczycielka z Polski, uczy nas recytować wiersze. Są to wiersze pełne tęsknoty i patriotyzmu. One pomagają nam przetrwać ten trudny czas. Tam na zesłaniu poznawaliśmy ciężar każdego słowa. Szczególnie wiersz pod tytułem "Spowiedź Ojczyźnie", autora nie pamiętam.

Polsko, Ojczyzno moja,

Przez sybirskie stepy

Widzę Cię dziś dokładniej, jaśniej i lepiej.

Bo w czasach, gdy powietrzem Twoim oddychałam,
Choć kochałam Cię zawsze, jednak Cię nie znalazłam.

Dziś w obcej krainie gra jak harfa eolska,

Słodkie słowo Ojczyzna, Święte słowo Polska.

Boże, daj dojść, kiedy wszędzie zieloność na runi

Daj przed zgonem dostąpić ostatniej komunii.

Dziś w obcej krainie gra jak harfa eolska

Słodkie słowo Ojczyzna, święte słowo Polska.

Wieczorami schodziliśmy się w naszej ziemiance i siadając na pryzkach, śpiewaliśmy do późna w noc.

Księżyc rozjaśniał na tyle wnętrze ziemianki przez małe okienko, ażeby można było stworzyć sobie skrawek naszej kochanej utraconej Polski. Śpiewaliśmy na głosy nasze piękne piosenki, a w nich czuło się zapach naszych pól oraz zapach naszych rodzinnych utraconych domów. Wiersze, które zapamiętałam, mówię wszędzie, gdzie zbiera się grono Polaków. Po powrocie naszej młodzieży z budowy drogi kolejowej zaczynają się narady. Brat z panem Białkowskim podejmują decyzję i udają się pieszo do Fiodorówki a stamtąd do Buzuluku. W Buzuluku organizuje się Polska Armia pod dowództwem gen. Wład. Andersa.

Następuje krótkie pożegnanie Matki z synem oraz siostrami. Idąc przez stepy, gdzie powoli zacierają się ich postacie, Matka patrząc przez okienko wypowiedziała jedno zdanie; Boże - czy ja jego kiedyś zobaczę? Jednak nie było jej sądzone zobaczyć się z synem. Umierając w Polsce miała tylko jedną pretensję do niego. Dlaczego on nie odwrócił się do niej chociaż jeszcze jeden raz, oddalając się w głąb stepu.

c.d.n.

Tłumacki Holocaust

„Sprawiedliwi – prawi nie Żydzi”

Shlomo Blond

Dalszy ciąg wyjątków z książki „The Righteous Gentiles” wydanej w Izraelu

Polska rodzina Lechowskich

Mosze Gutstein, tłumacki dentysta opowiadał, że zanim getto tłumackie zlikwidowano, on, jego przyjaciel Yitzak i Berta Opoczyńska otrzymali aryjskie papiery ze starych archiwów miasta, dane im przez urzędnika sądowego. Teraz nazywał się Józef Chebich. Z tymi papierami poszedł do pracy jako rolnik, to znaczy do gospodarza jako jego pomocnik. Miał pewne doświadczenie w rolnictwie pracując kiedyś na praktyce w kibucu. Berta Opoczyńska podała, że ona także otrzymała papiery aryjskie wtedy, kiedy Gutstein.

Wymknąwszy się z getta Gutstein udał się do odległej wioski, gdzie mógłby pozostać do końca wojny. Tam spotkał rolnika, któremu powiedział, że jest Polakiem, nazywa się Józef Chebich i szuka pracy na wsi. Gospodarz, Ukrainiec, któremu brakowało rąk do pracy, chętnie przyjął Gutsteina. Ten

szybko przyzwyczaił się do życia na wsi, pracował pilnie, żeby zadowolić gospodarza i nie być podejrzanym, że jest Żydem. Z czasem sytuacja się pogorszyła, znalazł się w niebezpieczeństwie i musiał jak najszybciej uciekać, żeby uniknąć zagłady. Nie miał wyboru i wrócił do Tłumacza. Przez szereg dni ukrywał się u Polki Szklar. Bała się ukrywać go dalej. Gdyby dowiedziano się, że jest u niej – zabito by ją. Kobieta dała mu adres swojej siostry – rodziny Lechowskich, którzy mieli własne 30-hektarowe gospodarstwo we wsi Wojciechówka około 18 kilometrów od Buczacza. W nocy wyprowadziła go na skraj miasta, dała mu żywność na drogę i poszedł do Buczacza. Lechowski wiedział już o nim i czekał na jego przybycie. Siostra Lechowskiego z Tłumacza powiedziała mu, że wysłała pomocnika do gospodarstwa, Żyda, żeby go zatrudnił. Gutstein ciężko pracował. Jego gospodarze byli zadowoleni. Dwóm parobkom chrześcijanom zatrudnionym w gospodarstwie powiedzia-

no, że Gutstein jest krewnym Lechowskiego, nie bardzo wprawnym w gospodarstwie, ponieważ był z miasta, gdzie pracował w tartaku. To było wyjaśnienie na uwagi innych, że „Polak” nie bardzo nadaje się do pracy na roli. Lechowski dał mu pracę w stajni, nawożenia pola, ścinanie drzewa w lesie. Wysyłali go także do Buczacza w różnych sprawach. Praca była ciężka, ale odpowiadała mu. Miał pracę, był bezpieczny przed szpiegującymi oczami, dach nad głową. Cóż więcej mógł chcieć Żyd w tych czasach? Wyżywienie miał dobre, oczekiwał na zakończenie wojny w spokoju. Każdej niedzieli mógł pójść do kościoła do Buczacza, korzystał z tego i odwiedzał dzielnicę żydowską, gdzie było jeszcze kilku Żydów. Było to przed ostateczną łapanką, a myśl o niej wprowadzała Żydów w rozpacz. W Buczaczu Gutstein dowiedział się o klęsce Niemców pod Stalingradem. Armia niemiecka pod dowództwem gen. Paulusa została rozbita i wielu Niemców dostało się do niewoli. Dla przygnębionych Żydów ta wiadomość przyniosła powiew nadziei. Może jeszcze dożyją, żeby zobaczyć upadek III Rzeszy. Ale w Buczaczu nadal ich zabijano i Gutstein w czasie następnych odwiedzin Buczacza stwierdził, że nie ma tam już Żydów. Bardzo się tym przejął, ale starał się bólu nie okazywać.

Sąsiedzi w tej polskiej wiosce byli przekonani, że Gutstein jest polskim oficerem, krewnym Lechowskich i ukrywa się przed Niemcami. W każdym razie nie podejrzewano, że jest Żydem. Jako Polak był jednym z nich, i w ten sposób przeżył aż do wyzwolenia, do przyścia wojsk rosyjskich. Opuścił wioskę i wrócił do Tłumacza, a kiedy zaczęła się repatriacja polskich obywateli do Polski, też tam się udał, a następnie do Izraela. Tam zaczął nowe życie, ale choroba przykuła go do łóżka. Odszedł w 1982 r.

Tak jak inni zawdzięczał swoje życie dwóm polskim przyjaciółkom: pani Szklarowej i rodzinie Lechowskich. W bagnie niemieckich prześladowań, zdrad i kolaboracji z wrogami, czyni kilku i ryzyko, jakie podejmowali, żeby ratować życie Żydom zasługuje na utrwalenie w pamięci na liście honorowej „R.G.”.

Jan Warowy

Jan Warowy był chłopem ukraińskim w wiosce Zigane (Cygany) koło Borszczowa. Fischel Fischbein (syn Izraela Fischbeina z Tyśmienicy) opowiedział mi, jak w czasie wojny II wojny światowej uratował swoje życie wtedy, kiedy cała ludność żydowska Tyśmienicy została zgładzona. Ukrywał się u Warowów.

Po łapance w Tyśmienicy, Niemcy zabrali wszystkich pozostałych Żydów do getta w Tłumaczu. Kiedy nastąpiła likwidacja getta tłumackiego, Fischbein uciekł do Monasterzysk. Miejskowa Rada Żydowska przyjęła go do getta i skierowała do pracy przy sortowaniu rzeczy po Żydach, którzy zostali wysłani do obozów zagłady. Przy sortowaniu rzeczy znalazł złoty zegarek i 90 dol. ukryte w wyściółce podnóżka.

Opuścił getto i udał się do Borszczowa uciekając przed łapanką. Znowu wymknął się z rąk Gestapo i poszedł na przełaj przez pola aż do wsi Cygany. Kiedy nastąpiła noc, zapukał do drzwi chaty chłopskiej. Zaproszono go do środka, nakarmiono, przygotowano nocleg. Rano, kiedy gospodarz razem z rodziną udawał się do pracy w pole, zaproponował Fischbeinowi, żeby poszedł pracować razem z nimi. Wiedział, że Fi-

schbein jest Żydem i wiedział, jaka czeka kara całą rodzinę za zatrudnienie i ukrywanie Żyda. Gospodarz wystarał się dla Fischbeina o aryjskie papiery i zameldował go w gminie jako Ukraińca, Jana Bojczuka.

Fischbein używał tego nazwiska aż do wyzwolenia. Nikt we wsi nie podejrzewał, że był Żydem, ponieważ wierzyli słowom Warowa. Ten uczynek był tym bardziej godny podkreślenia, że ogólnie Ukraińcy nienawidzili Żydów i współdziałali z Niemcami w mordowaniu ich, gdzie tylko mogli ich złapać. Poza tym Jan Warowy nigdy przedtem na oczy nie widział Fischbeina.

Z wdzięczności za to, co Jan Warowy dla niego zrobił, Fischbein postanowił pozostać przy nazwisku Bojczuk jako własnym aż do śmierci.

Udał się do Izraela i tam żyje z rodziną, którą założył po wojnie.

Za ludzkie podejście – w niebezpieczeństwie swego własnego i rodziny życia dla ratowania Żyda – Jan Warowy w pełni zasłużył na honorowe odznaczenie i tytuł „R.G.”.

Józef Baranowski

Jest to historia o gospodarzu, który mieszkał w małym przysiółku, blisko lasu Nadorożna, w rejonie Tyśmienicy. Jego gospodarstwo było częścią posiadłości, której właścicielem był Żyd, Schwedrik. Nazywał się Józef Baranowski i jego historię opowiedział Hirsch Leib Fliker, którego Baranowski ukrywał w czasie Zagłady i w ten sposób uratował mu życie.

Hirsch Leib i jego ojciec Izrael Fliker byli znani w Tyśmienicy i w całej okolicy jako specjaliści kuśnierze. Przerabiali futra na spodnie, marynarki, rękawice. Kiedy Niemcy zajęli Tyśmienicę, Hirsch Leib z ojcem i innymi pracował w mieście w garbarni wyrabiając rzeczy potrzebne wojsku niemieckiemu i SS.

W październiku 1942 r., kiedy Tyśmienica znalazła się na liście miast „wolnych od Żydów” i tysiące Żydów skierowano na śmierć, SS przeniosło ojca i syna Flikerów do Lwowa jako „pożytecznych Żydów” i zamknęło ich w więzieniu dla kryminalistów w „Brygidkach”. Zostali umieszczeni w celi i zaczęli wyrabiać skórzane rękawice dla SS. Maszyny do szycia i futra umieszczono w celi, a surowiec był przywożony specjalnie z Tyśmienicy.

Ponieważ Hirsch Leib wiedział, gdzie można otrzymać surowiec, został wysłany do miasta (Tyśmienicy) pod strażą SS. Nie miał wątpliwości, że jak tylko nie będzie już „potrzebny” nazistom – zabiją go. Zaczął się zastanawiać, jak by uciec w drodze do albo z Tyśmienicy.

W marcu 1943 r. Hirsch Leib pojechał pod strażą do Tyśmienicy po skóry. Droga była zasypana śniegiem. Obydwaj byli przemarznięci i z trudem dostali się do domu właściciela skór i zatrzymali się tam, żeby trochę odtajeć. Jednak pogoda była nadal zła i kupiec nie mógł dostarczyć towaru. Hirsch Leib zaproponował swemu strażnikowi, żeby poszli do domu innego dostawcy. Z powodu silnego mrozu i padającego śniegu żołnierz SS postanowił pozostać na miejscu, a Hirsch Leib miał pójść sam. Hirsch Leib rozumiał, że jest szansa ucieczki i za chwilę był wolny. Ponieważ znał dobrze okolicę, zszedł z głównej drogi i udał się do lasu Nadorożna, odległego o kilka kilometrów. Kiedy ruszył przed siebie w głębokim śniegu zdał sobie sprawę, że zostawia za sobą głęboki ślad. Nie

potrwa długo, a Gestapo będzie szło jego śladami aż do lasu. Toteż zacierał gałęzią ślady swych stóp na śniegu. Wyszedł z lasu i udał się do pobliskiego domu Polaka Jozefa Baranowskiego. Baranowski natychmiast zabrał go do stodoły i przykrył go sianem. Gdyby jednak Gestapo odnalazło ślad i Flikera w stodole Baranowskiego, mógł oświadczyć, że nie wiedział o tym, że jest tam Fliker. Strażnik SS był już zmęczony czekaniem. Wreszcie zrozumiał, że Hirsch Leib skorzystał z tego, że nie był pod strażą i uciekł. Strażnik SS wiedział, że będzie ciężko ukarany, ale nie miał wyboru. Zawiadomił policję ukraińską i posterunek żandarmerii niemieckiej, żeby wspólnie starać się złapać zbiegłego Żyda i zastrzelić go. Policja ukraińska wezwała pomoc i zaczęło się polowanie na Flikera. Rozproszyli się w terenie i zaczęli przeszukiwać dom po domu. Wiedzieli, że ich ofiara nie mogła odejść daleko i że może się ukrywać w jednym z domów w pobliżu. Inny oddział wysłano do miasta, żeby szukać zbiega w pustym teraz getcie. Poszukiwania nie dały rezultatów, Flikera nie znaleziono. Rosła wściekłość Ukraińców i ich przelożonych Niemców. Postanowili znaleźć go za wszelką cenę. Z nastaniem nocy zawieszono poszukiwania do rana.

Baranowski zdał sobie sprawę z tego, że jeżeli Hirsch Leib zostanie znaleziony w jego stodole, żadne tłumaczenia nie uchronią go od kary. Będzie zasądzony nie tylko za ukrywanie Żyda, ale i za to, że ten Żyd sprawił władzy tyle kłopotów. Mimo tego Baranowski nie miał serca kazać Hirschowi opuścić stodołę i wysłać go na stracenie. A czas upływał. Cokolwiek miałby zrobić, musiał wykonać szybko. Pracując całą noc (śnieg trochę padał) wykopał wielką jamę w rogu swego pola zarośniętym krzakami, umieścił tam Hirscha dając mu tam żywność i wodę i zakrywając wejście do jamy gałęziami i śniegiem. Szukający przeszli obok, oglądali, ale nic nie znaleźli. Pod koniec dnia zaprzestano poszukiwań, a Hirsch i jego opiekun odetchnęli trochę lżej. Kiedy zapadła noc poszli do lasu, żeby znaleźć odpowiednie miejsce na schron. Musieli kopać ostrożnie, żeby ich nikt nie widział. Kopanie i usuwanie z widoku świeżej ziemi wykonywano w nocy. Hirsch Leib wszedł do schronu, a Baranowski zamaskował otoczenie gałęziami i chrustem. Teraz już nie było żadnego śladu. Baranowski przygotował dużo żywności, żeby Hirsch nie musiał zbyt często opuszczać schronu. Wieśniacy rąbający w lesie drzewo na opał mogli być w tej okolicy i mogli go zobaczyć.

Hirsch Leib pozostawał w schronie przez wiosnę, lato i jesień, jak przyszły deszcze i mrozy zimą Baranowski przyniósł mu ciepłe okrycia i Hirsch postanowił spędzić w schronie następną zimą. Baranowski odwiedzał go często, używając umówionego sygnału, że to właśnie on przychodzi. Nigdy w czasie pobytu w schronie Hirschowi nie brakowało żywności i wody. Baranowski starał się urządzić schron tak wygodnie, jak było to możliwe.

Przyszła wiosna 1944 r. Armia Czerwona podjęła wielką ofensywę wzdłuż całego frontu przelamując fortyfikacje niemieckie. Wkrótce doszli do terenów Tłumacza-Tyśmienicy. Ta okolica była terenem ciężkich pojedynków artyleryjskich. Pociski padały w lesie rozrzucając ziemię w okolicy schronu. Padały bomby zapalające i las zaczął się palić. Schron był w samym środku tego bombardowania i Hirsch zdał sobie sprawę, że nie może tam dłużej przebywać. Uciekać? Pytanie było

– dokąd? Niemcy byli jeszcze w okolicy. Naradzał się z przyjaciелеm. Baranowski zaproponował żeby Hirsch Leib wrócił do prowizorycznego schronu na podwórzu domu. Tu też było niebezpiecznie, bo było się obserwowanym, ale sytuacja się zmieniała. Wieśniacy oczekiwali teraz zwycięstwa Rosjan – każdego dnia. I tak się stało.

W lipcu 1944 r. Hirsch Leib Fliker został wyzwolony. Kiedy sprawy się ułożyły rozmawiałem z Hirschem Leibem – opowiadał mi, jak Baranowski poświęcał się dla niego w tych okropnych czasach. Hirsch Leib był przekonany, że Baranowski jest aniołem. Któż mógł pomyśleć, że prosty wieśniak będzie się dzielił chlebem z Żydem i do tego zbiegłym od nazistów. Obu ich mogła spotkać śmierć. Baranowski o nic nigdy nie prosił w zamian, nigdy nawet nie wspomniał, że Hirsch Leib jest mu coś dłużny.

Należy stwierdzić, że rodzina Baranowskich była bardzo poważana w Tyśmienicy, zawsze pozostawała w dobrych stosunkach z Żydami.

Choćby dlatego rodzina ta powinna być zaliczona do odznaczenia dla „R.G.”, a to co zrobił Baranowski stawia go na czele odznaczonych.

Hirsch Leib Fliker po wyzwoleniu przybył do Polski. Przeznaczenie sprawiło, że po tym jak przeżył Zagładę dzięki Józefowi Baranowskiemu, padł od kuli żołnierza sowieckiego w czasie jazdy do Wrocławia wraz z Bertą Zilber w sowieckim wojskowym samochodzie. Żołnierz zastrzelił go, kiedy jechali przez las. Taki był tragiczny koniec jednego z ocalonych Żydów z Tyśmienicy.

Cmentarz Żydowski

*W przydrożnych starych lipach,
modlitwę szepcze wiatr.*

*A na zwalonych płytach,
błękitny motyl siadł*

*Wysokie pluszowe dziewanny,
zakryły hańby znak.*

*A w szeleszczących łozach
zakrakał czarny ptak.*

*Po szarym placu cierpienia,
rozpełzły się siwe mchy,
ponad zapadłą mogiłą,
burzamu baldach drży.*

*Złota gwiazda Dawida,
do nieba wznosi ramiona.
Nad nimi ulata krzyk
i gdzieś w przestworzach kona.*

Napisała w Tłumaczu po wojnie
Czesława Koczwarę-Kalużę

Przejęta i zauroczona wymową powyższego wiersza, pozwoliłam sobie na zapożyczenie niektórych zwrotów w moim wierszu pt. „Mogily Naszych Zesłańców” (patrz ZT Nr 2), za co autorkę Czesławę Koczwarę-Kalużę bardzo przepraszam.

Anna Panachida-Bocheńska

Wiadomości z życia tłumaczan

Kołobrzeg '96

Roma Lityńska-Króliczek

Drodzy rodacy – rozmilowani w tłumackiej ziemi, najpiękniejszej ziemi na świecie!

Zarząd Klubu „Tumacz” dzięki swej operatywności zorganizował nasze tegoroczne spotkanie w dniach 1-14 czerwca w Kołobrzegu, za co wyrażamy swą wdzięczność.

Nie chcę pisać nudnego sprawozdania ze zjazdu, łącznie z datami i porządkiem dnia. Chcę tylko krótko i serdecznie przybliżyć wspomnienia ze spotkania w Kołobrzegu bardzo bliskich sobie sercem i duszą ludzi – zjednoczonych wielką tęsknotą i bólem za utraconą ziemią rodzinną a zgromadzonych w TML i Kres. Poł.-Wsch. – Klub Tłumaczan. Wyjątkowo licznie, wraz z dziećmi i wnukami (p. lista obecnych) zjechali się Tłumaczanie na swoje doroczne spotkanie do „Perły Bałtyku”, czyli Kołobrzegu. Pogoda dopisała. Podobno (wiadomości nieoficjalne) sam dobrotliwy Pan Bóg w nagrodę za nasze tułacze życie i poniewierkę rozkazał słoneczku nie próżnować, ale ciepło i pięknie świecić.

W miarę przybywania uczestników następowały gorące powitania, uściski i ucałowania wraz z tradycyjnym „całuję rączki”. Trzeba przyznać, iż tłumaccy koledzy i rodacy wiedzą jak należy witać panie i ściśle przestrzegają dawnych tradycji, co stanowi miły akcent. Były również łzy, których nie należy się wstydzić, gdyż były to łzy radości, że jeszcze żyjemy, że możemy się ze sobą spotkać i wspominać to, co nieodwołalnie minęło – nasz „raj utracony” – ukochany Tłumacz i jego okolice i tragiczne dzieje prawowitych mieszkańców tego kresowego grodu. Były też dyskretne oceny i taksowania pań, w rodzaju: „popatrz, jak ta „X” wspaniale wygląda.

A ile ona ma lat?!

Józku – ta ni do wiary –

Wygląda na czterdzieści.”

Po rozlokowaniu się w przytulnych i wygodnych kwaterach, rozpakowaniu rzeczy i odpoczynku po podróży – zaczął się czas spacerów po plaży i towarzyskich herbatek, czas wspomnień. W owym „rajdaniu” znalazła ujście przeogromna, niewypowiedziana tęsknota za rodzinną ziemią utraconą na zawsze; za białym domkiem, tonącym w kwitnącym wiśniowym sadzie, skapanym w promieniach słońca, za ogrodkiem, w którym bujnie kwitły bzy, róże i jaśminy – ich intensywny zapach we wspomnieniach wraca do mnie po tylu długich latach. A czy ktoś pamięta dziś przepyszny smak i zapach wspaniałych pączków i kruchych rogalików, nadziewanych konfiturami z róż, pieczolowicie sporządzanych przez nasze babcię i mamę?

To mogło tak wspaniale smakować tylko w Tłumaczu – gdzie słońce świeciło najcieplej – kwiaty rosły najpiękniej i najwspanialej pachniały.

To była ziemia, gdzie sam dobrotliwy Pan Bóg kazał naszym przodkom żyć pobożnie i uczciwie korzystać z dobrodziejstw danych człowiekowi.

Miałam pisać o zjeździe w Kołobrzegu, a piszę o Tłumaczu, ale to dla tego, że na spotkaniu głównym tematem rozmów był Tłumacz.

Drodzy Tłumaczanie – czy nie warto było przyjechać na spotkanie z najbliższymi sobie rodakami i tak pięknie powspominać to, co bezpowrotnie minęło – wrócić w myślach do najpiękniejszych lat beztróskiego dzieciństwa i młodości? Oprócz wspomnień były śpiewy wie-



Zjazd Ogólnopolski

Tłumaczanie odpoczywający wspólnie w ośrodku wojskowym w Kołobrzegu w czerwcu 1996 r.

czorową porą – piękne, mocne tłumackie głosy niosły hen wysoko do nieba pieśń dziękczynną do Stwórcy.

Zapłonęły dwa ogniska: jedno dla naszych wnuków, obecnych na spotkaniu – z okazji dnia dziecka, następnego dnia dla dorosłych. Na ognisku najlepiej smakują kielbaski – było więc i pieczenie kielbasek.

Znowu wracam do śpiewów, bez których nie byłoby prawdziwego ogniska. Naszym śpiewom akompaniował szum morskich fal, łagodny szelest drzew, dlatego też brzmiały one tak cudownie. Co wówczas czuliśmy, trudno opisać – trzeba samemu to przeżyć.

Czas uciekał – nie było miejsca na nudę. 10 czerwca o godz. 16.00 w kościele franciszkańskim w Kolobrzegu odbyła się Msza Św. w intencji żyjących i za dusze zmarłych. śp. Tłumaczan. Wszyscy zgromadzeni Tłumaczanie czynnie uczestniczyli we Mszy Św. przyjmując Komunię św.

Wieczorek pożegnalny przypominał nam o rozstaniu, którego pora się zbliżała, a ja przy pomniałam sobie, że nie wspomniałam nic o 50-tej rocznicy ślubu naszych najmilszych rodaków, Marii i Mariana Adamczaków. Piękna jeszcze dziś Marysia Lanerówna z domu i Jej szanowny małżonek, pan Marian Adamczak podejmowali swoich gości szampanem, ciastkami, kawą i herbatą, bawiliśmy się wszyscy doskonale. Wypoczęci, zadowoleni ze zjazdu Tłumaczanie, dosłownie siedząc na walizkach, przed wyjazdem do swoich domów snuli rozmowy o następnym spotkaniu.

Nastąpiły pożegnania – znowu pojawiły się łzy i życzenia: do zobaczenia za rok.

Kochani Tłumaczanie – niejestem w stanie swoim nieudolnym piórem opisać wspaniałej atmosfery tych spotkań – to coś niepowtarzalnego – to trzeba samemu zobaczyć i przeżyć, wówczas się pozna sens i cel tych zjazdów.

Odrężeni, napelnieni ożywczą energią będziemy z niecierpliwością i tęsknotą oczekiwać cały rok następnego spotkania.

Nie damy się chorobom, ani biedzie, która wygląda z naszych emeryckich portfeli – musimy spotkać się w przyszłym roku – złączeni wielką miłością i braterstwem dusz w patriotycznym umiłowaniu naszej kresowej rodzinnej ziemi. Zasyłamy tysiące serdeczności naszym Tłumaczanom w kraju i za granicą, którzy nie mogli przybyć na zjazd. Łączymy się z Wami najmiłsi w naszych modlitwach, aby losy Wasze układały się pomyślnie, a serca wypełniała dobroć.

Do zobaczenia za rok!

Udział w spotkaniu wzięło około 80 osób + 15 wnuków.

PS.: Na walnym zgromadzeniu nastąpiła zmiana na stanowisku skarbnika. Funkcję tę powierzono kol. Annie Bocheńskiej-Panachidzie.

Byliśmy też w Krynicy

Rysia Dębiec-Kasperowicz

W roku bieżącym oprócz wczasów organizowanych corocznie przez Klub Tłumacz w Kolobrzegu, tłumaczanie mieli również możliwość skorzystania w czerwcu (3-25) z walorów leczniczych Krynicy górskiej. Wczasy z 50% zniżką dla emerytów zorganizowano w pensjonacie „Leśna Polana” przy ul. Świdzińskiego. Przybyli krajanie, wprawdzie nieliczni, gdyż zaledwie 10 osób. Zostaliśmy zakwaterowani w ładnych, wygodnych pokojach. Otrzymaliśmy nadzwyczaj smaczne posiłki, a co najważniejsze, mieliśmy możliwość korzystania z niektórych zabiegów na miejscu. Czas upływał nam miło przy

wspólnych herbatkach lub w czasie długich spacerów. Snuliśmy tłumackie wspomnienia oraz roztrząsali wydarzenia z licznych spotkań z minionego okresu. Jedynym mankamentem było wysokie położenie pensjonatu, chociaż wśród wspaniałej zieleni co osobom mniej sprawnym utrudniało zwiedzanie pięknej okolicy.

Wypoczywać w Krynicy mogliśmy dzięki staraniom naszej koleżanki Danusi Tabińskiej-Juhasz, za co Jej, jak i uprzejmej i sympatycznej Kierownicze „Leśnej Polany” serdecznie dziękujemy.

Tłumaczanie piszą!

Pragniemy opublikować wyjątki listów naszych czytelników i pięknie Im za nie podziękować.

„Jednym z najpiękniejszych życzeń świątecznych to otrzymany Zeszyt Tłumacki, w którym opisane są szczęsne i nieszczęsne nasze przeżycia w tym mieście.

Za trud i efekt pracy Zarządu i Zespołu Redakcyjnego składam serdeczne podziękowania.”

Karol Mytnik z Koszalina

„Kochani Tłumaczanie!

„Serdecznie dziękuję za pamięć o mnie i ciągle nawiązywanie kontaktów, pomimo że trochę się odsunęłam.

Chciałam znowu włączyć się w Wasz nurt.

Dziękuję również gorąco za wydrukowanie pamiętnika mojego ojca Andrzeja Jakubowicza.

Zeszyty Tłumackie pisane w cierpieniu i tęsknocie odtworzą nasze zacierające się już wspomnienia i będą cenną pamiątką dokumentującą nasze tam istnienie”.

składa Jakubowicz-Jagiello

„Z radością odebrałam 1-szy numer „Zeszytów Tłumackich” i bardzo za nie dziękuję. Cieszę się, że mamy nareszcie swoje pismo. Życzę całej Redakcji dużo wytrwałości, energii, inicjatywy i w ogóle wszystkiego dobrego.”

Anna Korczowska (Mierzwińska)

Jestem pełna podziwu za wysiłek, pracę i wielki talent, za bezmiar serdeczności i uczucia, które wkładasz Danusiu, gromadząc nas w Klubie Tłumacza, a teraz ostatnio przy redagowaniu „Zeszytów Tłumackich”. Dokonałaś naprawdę wspaniałej rzeczy!

Mówiąc krótko: papier doskonały, szata graficzna bez zarzutu, no i, najważniejsza, treść: ciekawa, interesująca, patriotyczna, ukazująca prawdziwe dzieje mieszkańców naszego tłumackiego grodu.

Życzę Tobie Danusiu oraz pozostałym Redaktorom dużo sukcesów i satysfakcji z redagowania Zeszytów Tłumackich. Daj Wam Boże dużo zdrowia, siły i wytrwałości w tak zbożnym dziele!”

Roma Króliczek

„Droga Redakcjo!

Za przysłany pierwszy kwartalnik pisma „Zeszyty Tłumackie” serdecznie dziękuję i gratuluję. Z dużym wzruszeniem czytałam odtwarzając przy tym sobie krajobraz tego małego niezapomnianego miasteczka. Wszystkie wspomnienia we mnie ożyły, uczestniczyłam razem z redaktorami tego pisma w wędrówkach po wąskich małych uliczkach, będąc świadkiem niekiedy rzeczy strasznych...

Zarządowi i Redakcji życzę wszystkiego najlepszego.”

Stanisława Korybska-Korneluk

„Podoba mi się format pisma i jego strona graficzna. Pozytywnie kontrastuje z podobnymi publikacjami wydawanymi przez mieszkańców innych małych miast Małopolski Wschodniej. Sądzę, że obok herbu Lwowa znajdującego się na okładce, warto by umieścić herb Tłumacza. Koniecznie trzeba dokładniej przeprowadzać korektę tekstu, jest w nim wiele błędów.

Życzę Redakcji wytrwałości w redagowaniu Zeszytów i powodzenia w zdobywaniu na ten cel środków materialnych.”

Serdecznie w Bogu pozdrawiam

ks. Lesław Jeżowski

Moje Wspomnienie Tłumackie

Niedawno do moich rąk trafił nr 2-gi „Zeszytów Tłumackich”. Nr. 1-go niestety nie widziałam, ale tym drugim jestem zachwycona, tak formą zewnętrzną, jak i bogatą treścią. Znane i nieznanie osoby, okoliczności, chętnie zamówiłabym roczną prenumeratę. Czytając nasunęły mi się wspomnienia, z którymi chciałbym się podzielić, może ktoś jeszcze pamięta opisywane zdarzenia. Pierwsze wspomnienie dotyczy chwil przedwojennych. Moi rodzice mieszkali w Czeremchowie, a mama przyjaźniła się z Panią Józefą Rylską. W maju 1939 r. zdawałam maturę u ss. Urszulanek we Lwowie. Po maturze pisemnej miałyśmy przerwę, może 2 tygodnie, a może 10 dni. Pojechałam do domu, do Czeremchowa, by odpocząć i przygotować się do ustnej matury. W tym czasie pani Rylska z Czarnołożyc przyjechała do moich rodziców, żeby mnie zaprosić na bal dobroczynny w Tłumaczu, którego miałam być gospodynią. Nie było mnie w domu, pojechałam konno do pani Horodyńskiej i jej siostrzenicy Róży Siemięńskiej z rewizytą. Wróciłam bardzo późno, z przygodami w drodze powrotnej i pani Rylska już się mnie nie doczekała. Dwa dni przed balem pojechałam do Czarnołożyc, by przygotować fanty na bal i ubrać salę balową w Tłumaczu. Pamiętam, była ubrana wąskimi kilimkami huculskimi, biało-czarnymi i pękami Montbercii w kolorze pamaranczo-wo-żółtym. W Czarnołożycach poznałam braci Rylskich: Juliusza który zginął zamordowany na wsi i Włodzimierza, który jako ka-

walerzysta walczył z Niemcami i zginął w bitwie pod Laskami k. Warszawy. Leży tam na cmentarzu z hełmem na krzyżu. Ile razy jestem w Laskach, odwiedzam zawsze jego grób i obok grób żony Teresy. Ale wtedy, w końcu maja, a może z początkiem czerwca nikt z nas nie przypuszczał, co nas czeka w najbliższej przyszłości. Może nawet tańczyliśmy wtedy wesoło. Bal się udał. Wybierałam losy kupującym młodzieńcom i tańczyłam do samego rana. Do godziny 5-tej, kiedy to zawieziono mnie bryczką do pociągu do Lwowa. Tego dnia rano zdawałam ustną maturę. Przyjechałam do internatu o ósmej. Zaczęła się matura, a ja byłam na literę L. Położyłam się spać, prosząc koleżanki, by mnie obudziły, gdy wywołają Hankę Lenkiewicz. I tak się stało. Maturę zdałam śpiwając, a po niej przeżyłam piękne wakacje w Czeremchowie. Ostatnie szczęśliwe chwile w moim życiu. Wojnę przeżyłam we Lwowie. Uczyłam się romanistyki na tajnych kompletach u prof. Czernego i prof. Lidii Łopatyńskiej, a w r. 1943 wstąpiłam do AK, najprzód jako łączniczka we Lwowie, potem kurierka w województwach lwowskim i sąsiednich. Z tą ostatnią funkcją łączy się moje drugie wspomnienie z Tłumaczem. W maju 1944 r. otrzymałam rozkaz przedarcia się przez front niemiecko-bolszewicki do Kołomyi, którą już zajęli Sowieci i tam nawiązanie kontaktu itp. Próbowałam wykonać ten rozkaz i przesłam przez pole bitewne, pieszo, wśród trupów koni, nocowałam w opuszczonej wiejskiej chacie i rano dostałam się do Tłumacza. Weszłam na plebanię i tam w formie spowiedzi opowiedziałam, jakie jest moje zadanie i prosiłam o pomoc. Proboszcz, niezwykle mądry człowiek i bardzo dobry, opowiedział mi, jak to w czasie działań wojennych zgromadził w kościele i jego podziemiach wiele osób uciekających przed frontem i walkami. Znał może mego ojca i stryja, też księdza, Tadeusza Linde, pomyślał dłuższą chwilę i powiedział: „Znam lu ludzi, którzy mogliby cię przeprowadzić każdą znaną ścieżką, ale front jest tak zwarty, że nawet mysz się nie przesłizgnie. I powiem ci, że rozkaz niewykonalny przestaje być wiążącym. Ja w imię Boga zwalniam cię z wykonania tego rozkazu.” Ugościł mnie bardzo sedecznie, zatrzymał na kolacji i na noc. Rano po śniadaniu wikary z dużym bukietem bzu odprowadził mnie na stację, czy do drogi, skąd wróciłam do Lwowa. Miałam szefowej przekazać słowa proboszcza z Tłumacza. Na tym się jednak nie skończyła moja misja kurierska. Byłam jeszcze w Delatynie, a ostatnią „wyprawą” był Stary Sambor, skąd przez 3 dni przedzierałam się wśród nalotów, pożaru, morderstw, ale dzięki Bożej pomocy żywa i cała wróciłam do Lwowa, który 25-go lipca zajęli Sowieci. Dostałam urlop zdrowotny z wojska, ale 1 III 45 r. zostałam aresztowana przez NKWD i po bardzo ciężkim śledztwie wywieziona do Komi SSR. Ale to już całkiem inna historia. Do Polski wróciłam 1 XII 1955 r. z mężem, poznanym w Krasnojarsku.

A Tłumacz zapadł mi głęboko w serce, dla tego z taką przyjemnością czytałam nr 2 „Zeszytów Tłumackich” i szukałam wzmianki o moim ojcu, który był aresztowany 12 I 45 r. i zmarł w więzieniu w Stanisławowie w kwietniu 1945 r.

Anna Linde-Apanowicz

Zawiadomienie

Przypominamy, że uroczystość – Odpust Św. Anny w kościele w Siedlakowicach odbędzie się w dniu 28.07.1996 r. o godz. 13. Dojazd z Wrocławia autobusem PKS kierunku Świdnica przez Gniechowice o godz. 11.00.

Zarząd

Uprzejmie informujemy, iż aktualnie w druku jest **VII** tom, reprintu unikalnego dzieła
SEWERYNA hr. URUSKIEGO:

„RODZINA. HERBARZ SZLACHTY POLSKIEJ”.

- Dzieło wydawane w latach 1904 – 1917, w tomach od I do XIV, tom XV oraz uzupełnienia ukazały się w latach trzydziestych.
Tomy liczą po ok. 400 str., oprawa twarda, format B5, cena od I do VI 33,00 zł/tom, od VII 35,00 zł
Dotychczas wydano:

- I - 400 str., Przedmowa, Abakanowicz - Broniewicz,
- II - 404 str., Broniewski - Czekoński,
- III - 396 str., Czeladka - Eywild,
- IV - 400 str., Fabecki - Groer,
- V - 396 str., Groffe - Jarzyński,
- VI - 396 str., Jasiocki - Kliński
- VII - 396 str. Klisz - Koźmiński



Kolejne tomy ukazują się co ok. dwa miesiące. Przyjmujemy zamówienia wyłącznie na całość: I - XV oraz Uzupełnienia jako tom XVI

- Posiadamy jeszcze w niewielkiej ilości wydrukowane tomy „Złotej księgi szlachty polskiej” Teodora Żychlińskiego od I do V, kolejne w druku. Razem XXXI tomów.
Wydanie bibliofilskie. Oprawa twarda - półskórek z tłoczeniami i złoceniami - format A4. W każdym tomie liczne monografie rodzin w układzie alfabetycznym

Tom I - 400 str., 6 tabl. genealogicznych, (nakład tomu wyczerpany, przewidywany dodruk w trakcie edycji),

Tom II - 416 str., (nakład tomu wyczerpany)

Tom III - 380 str., 2 tabl. geneal., - 39,00 zł,

Tom IV - 452 str., 8 tabl. geneal., - 39,00 zł,

Tom V - 490 str., 6 tabl. geneal., - 42,00 zł,

Tom VI - w przygotowaniu.



Ponadto proponujemy również w bibliofilskiej reedycji:

- Wiktor Wittig „Nieznana szlachta polska i jej herby” - reprint pracy z 1908 r.,
438 str., ponad 3000 nazwisk, 504 ryciny herbów, oprawa bibliofilska - 35,00 zł

- Kazimierz Marcinkowski „Rodziny zaszczycone szlachectwem w Królestwie Polskim 1815 - 1836” - na 64 str., rysunki herbów, szczegóły biograficzne rodzin nobilitowanych - 16,00 zł

→ Miło nam zasignalizować, iż jesienią br. ukaza się pierwsze dwie części HERBARZA MAZOWIECKIEGO. Autor, prof. dr hab. Jerzy Lempicki przez wiele ostatnich lat gromadził materiały dokonując przegądu m.in. kilkuset szczęśliwie zachowanych ksiąg sądowych mazowieckich od XV wieku do rozbiorów a także XIX - wiecznych ksiąg hipotecznych. Niezwykle wnikliwie i szczegółowo opracował historię wywodzących się z terenu Mazowsza rodzin szlacheckich, także tych, które tam tylko okresowo osiadły przedstawiając ich pełną genealogię oraz dzieje miejscowości i majątków często aż do parcelacji w 1945 roku.

Aktualnie odbywa się redakcja ogromnego materiału dostarczonego przez Autora. Będzie to pierwszy w powojennej historii drukiem wydany nowy herbarz oparty na solidnej kwerendzie archiwalnej. Praca mająca charakter źródłowy o niepodważalnym znaczeniu dla nauki w zakresie badań nad mazowiecką społecznością szlachecką, własnością ziemską, urzędach.

Przewidywany format edycji A-4, ilustracje herbów. Bliższe informacje przedstawimy jesienią br.

ZAMÓWIENIE (przesyłka za zaliczeniem pocztowym)

Autor

Tytuł

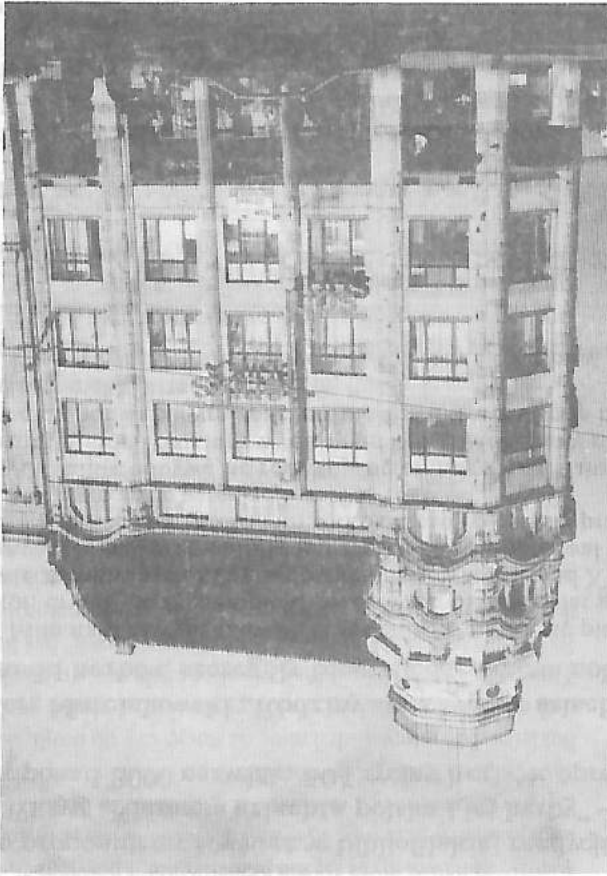
..... liczba egz.

Imię, Nazwisko

(pieczęć instytucji)

Adres (z kodem poczt.)

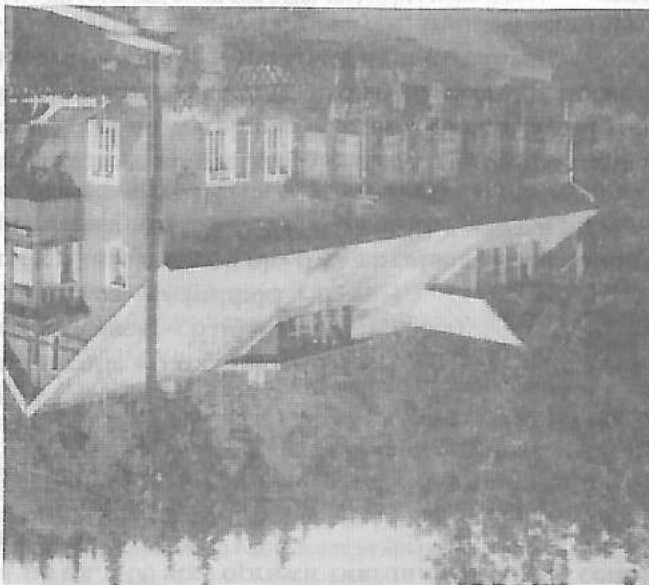
tel. data i podpis



**Spółdzielczy Dom Handlowy
FENIKS**
OFERUJE
Szeroki wybór artykułów żywnościowych i przypraw.
ZAPENIA
— wysoką jakość oferowanych towarów,
— komfort zakupów,
— konkurencyjne ceny,
— miłą i fachową obsługę.
CZYNNY
w dni powszednie do godziny 20.
ZAPRASZAMY



Wrocław Rynek 30 tel 44-36-02 fax 445932



DOM „JUHASZÓWKA”

nad Dzikim Potokiem (560 m npm), 26 do 30 miejsc noclegowych
wystrojony myśliwski dom – „w starym stylu”

Możliwość zorganizowania:

- ogniska,
- dyskoteki,
- wycieczki z przewodnikiem

Na zamówienia – śniadania, kolacje
tanio – miło – smacznie!

*Chcesz naprawdę wypocząć?
Jedź do Juhaszówki do Karpacza*

58-540 Karpacz, ul. Górna 4

(koniec Kolejowej)
Tel. (075) 619-739

Tel. (075) 519-739

† Odeszli



Kazimierz Piórecki
ur. 21 XI 1926 +24 V 1990



Zdzisław Kański
ur. 7 VI 1925 +7 I 1991



Jerzy Roztropowicz
ur. 1926 +1992

Pamięci Kolegów, którzy odeszli przedwcześnie

Z Tłumacza pamiętamy tę trójkę zawsze trzymającą się razem. Byli uczniami tłumackiego gimnazjum. Weseli, przyjemni chłopcy w butach z cholewami, kurtki przepasane skórzanymi paskami, w kaszkietach. Stanowili obiekt westchnień dorastających w czasie wojny dziewczyn tłumackich.

Podczas okupacji niemieckiej chłopcy nasi uchowali się pracując w Liegenschaftcie w Pałahiczach i u p. Andrusiewicza, który prowadził zakład ślusarski. Przechował on niejednego chłopca w tym zakładzie chroniąc przed wywózką na roboty w głąb Niemiec. Cała dorastająca młodzież spotykała się po majówkach na tłumackim "korsie" spacerując ulicą Słowackiego. Na prywatkach urządzanych po domach, uczyliliśmy się tańczyć przy muzyce z płyt patefonowych. Wszyscy trzej - Kazik, Dżinek i Jurek wiernie nam towarzyszyli w tych pierwszych zabawkach.

Wokół siebie stwarzali atmosferę pewnej tajemniczości. Pamiętam, że z moją siostrą oraz siostrami Dżinka starałyśmy się ich podsłuchać, podglądać i zawsze byłyśmy ciekawe, co oni knują. Mieszkaliśmy razem z rodziną państwa Kańskich przy ul. Grunwaldzkiej, a na tym samym podwórku, u p. Sokołowskiej mieszkali państwo Piórecy.

Dopiero we Wrocławiu dowiedziałam się, że była to już konspiracja. Chłopcy przygotowywali się do obrony Tłumacza przed ewentualnym napadem banderowców. Udało im się z rozbitego wagonu niemieckiego zabrać karabiny i amunicję. Chowali wzięte zdobycze pod dachem naszego domu.

W roku 1944 podzielili oni los wielu młodych mężczyzn z naszych kresowych terenów.

Zabrano ich w szeregi Armii Kościuszkowskiej. Wszyscy trzej zdążyli jeszcze walczyć w ostatniej wojnie tylko w różnych jednostkach.

Dżinek Kański zdobywał Wrocław i w pobliżu w Prusach osiedlił się wraz z rodziną po zdemobilizowaniu. Kazik Piórecki w czasie służ-

by wojskowej udzielił pomocy oddziałom leśnym AK, za co był aresztowany i zdegradowany z oficera do szeregowca.

Jurek Roztropowicz najdłużej pozostał w wojsku. Po zakończeniu wojny brał udział w likwidacji band UPA w Bieszczadach. Musiał odznaczyć się nie byle jaką odwagą, skoro uzyskał przydomek "Czarnego Sokola". Nigdy nie chciał poruszać tego tematu. Mówił jedynie, że pomścił ojca, który został bestialsko zamordowany przez banderowców. W randze już pułkownika Jurek przeszedł na emeryturę. W międzyczasie ukończył NOT uzyskując specjalizację inż. mykologa. Był cenionym fachowcem.

Kazik Piórecki był cały czas wierny PKP na stanowisku zawiadowcy. Ostatnio mieszkał z rodziną w Nysie i wychował przykładnie czworo dzieci.

Dżinek Kański osiedlił się w Prusach koło Strzelina. Pracował w fabryce mebli. Był znaną i wielce szanowaną postacią w całej okolicy.

Te przestrzenie, jakie ich dzieliły, dla prawdziwej przyjaźni nie miały znaczenia. Spotykali się często do ostatnich swoich dni. Byli dla siebie drużbami i ojcami chrzestnymi swoich dzieci i wnuków.

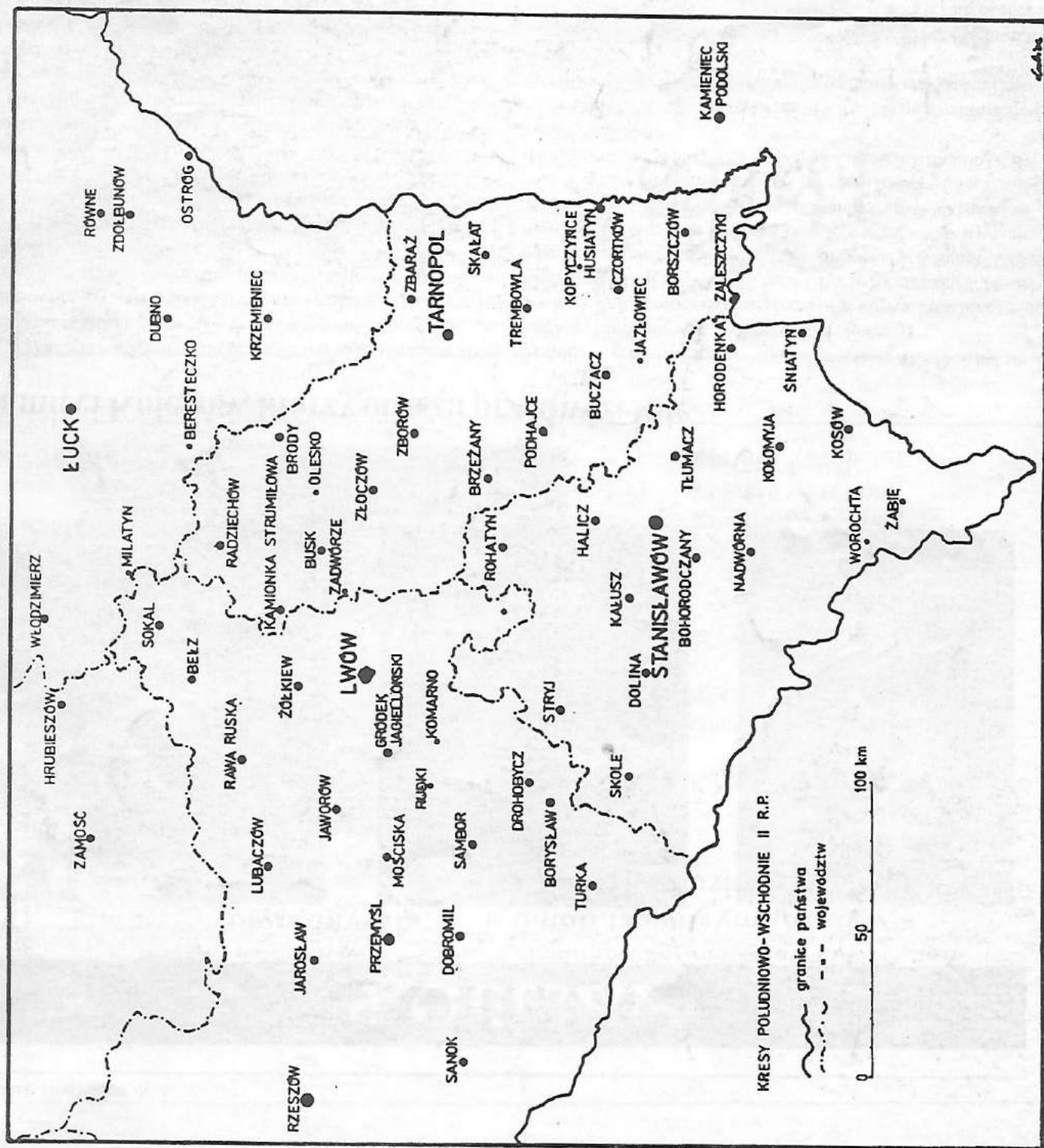
My pamiętamy ich ze zjazdów Tłumaczan w 1986 r. w Karpaczu i w 1989 r. w Otmuchowie. Byli tam roześmiani, wzruszeni i szczęśliwi ze spotkania z koleżankami i kolegami z Tłumacza.

Odwrot całej trójki rozpoczął niespodziewanie Kazik Piórecki w maju 1990 roku. Dżinek Kański był następnym w styczniu 1991. Odwrot zakończył Jurek Roztropowicz w 1992 roku.

Grono przyjaciół z Tłumacza towarzyszyło wszystkim trzem w ich ostatniej drodze.

W żalu pozostawili oprócz rodziny, nas wiernych tłumaczan, którym nigdy nie zatra się w pamięci twarze dzielnych kresowych chłopców, dobrych żołnierzy, patriotów, przykładnych mężów, ojców i oddanych wypróbowanych kolegów.

W imieniu najbliższych przyjaciół Danuta Tabińska-Juhasz



Lista ofiarodawców

Zygmunt Burezyński Marszów	100
Jerzy Czyżycki Wrocław	50
Janina Józef Duszyński Gdynia	50
Anna Fedorowicz USA	20 S
Tadeusz Kłonowski Gdańsk	50
Weronia Kłapkowska Siedlakowice	20
Stefania Mankowska Nowy Sącz	100
Stanisław Mierzwiński Gliwice	50
Juliusz i Stefania Petrus Rzeszów	50
Aniela Piszkievicz Szwecja	100 KS
L. T. USA	50 S
Ludmiła Tchosz Kraków	50
Władysław Tomyn Warszawa	50
Czesław Tuzinkiewicz Wrocław	30
Rudolf Woroszczuk Brzeg	50

Szanownym ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania

ZARZĄD